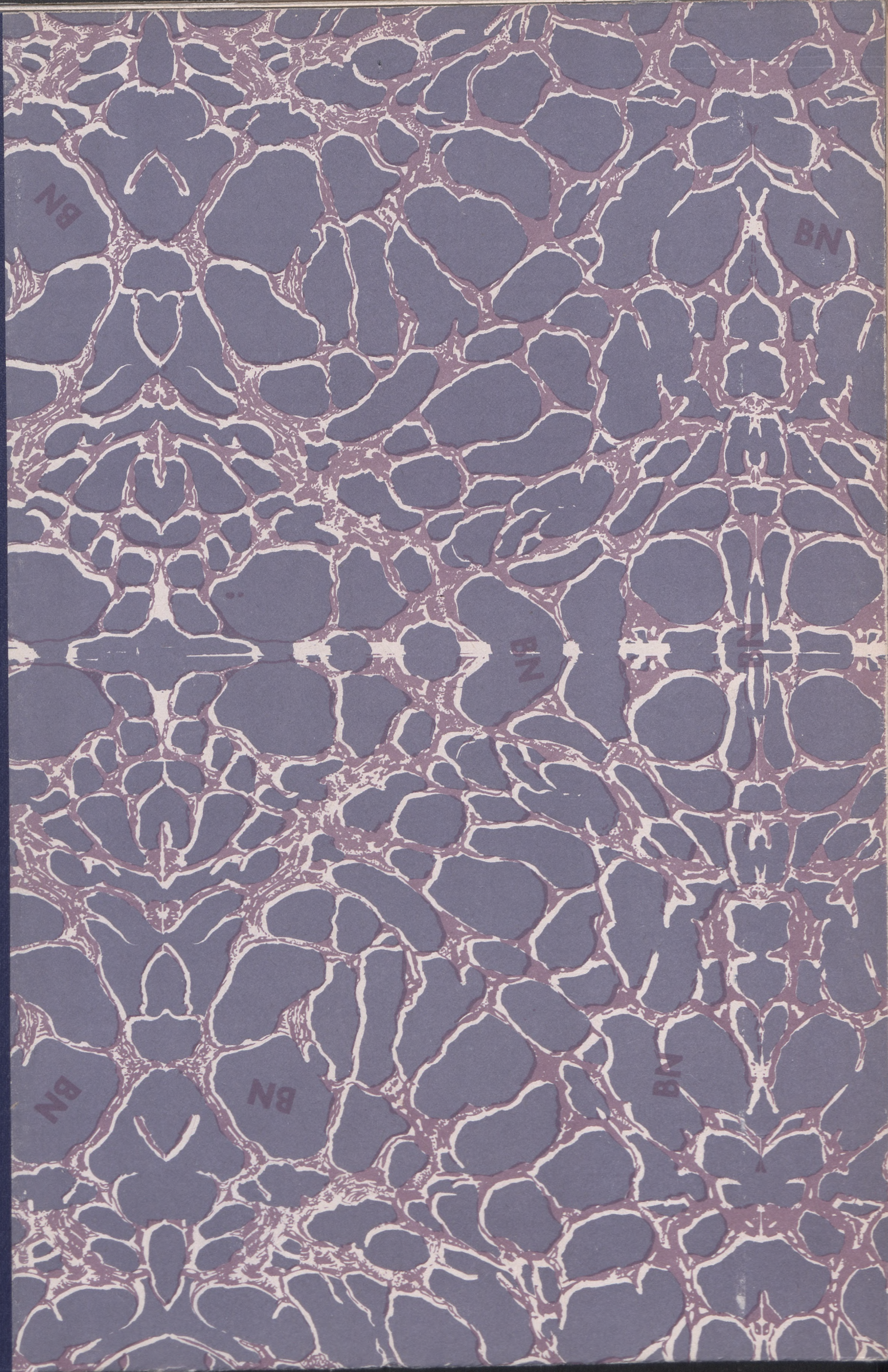
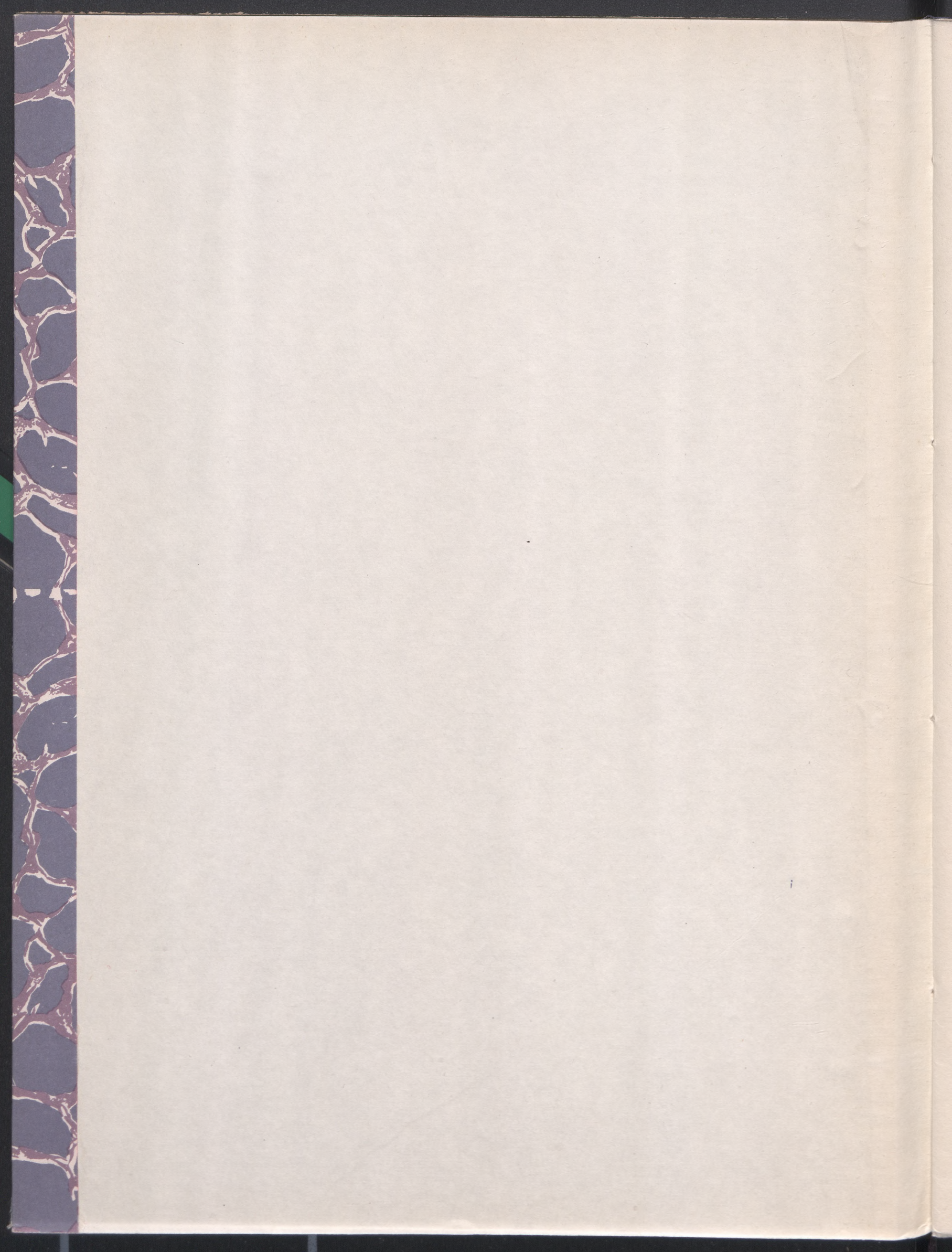
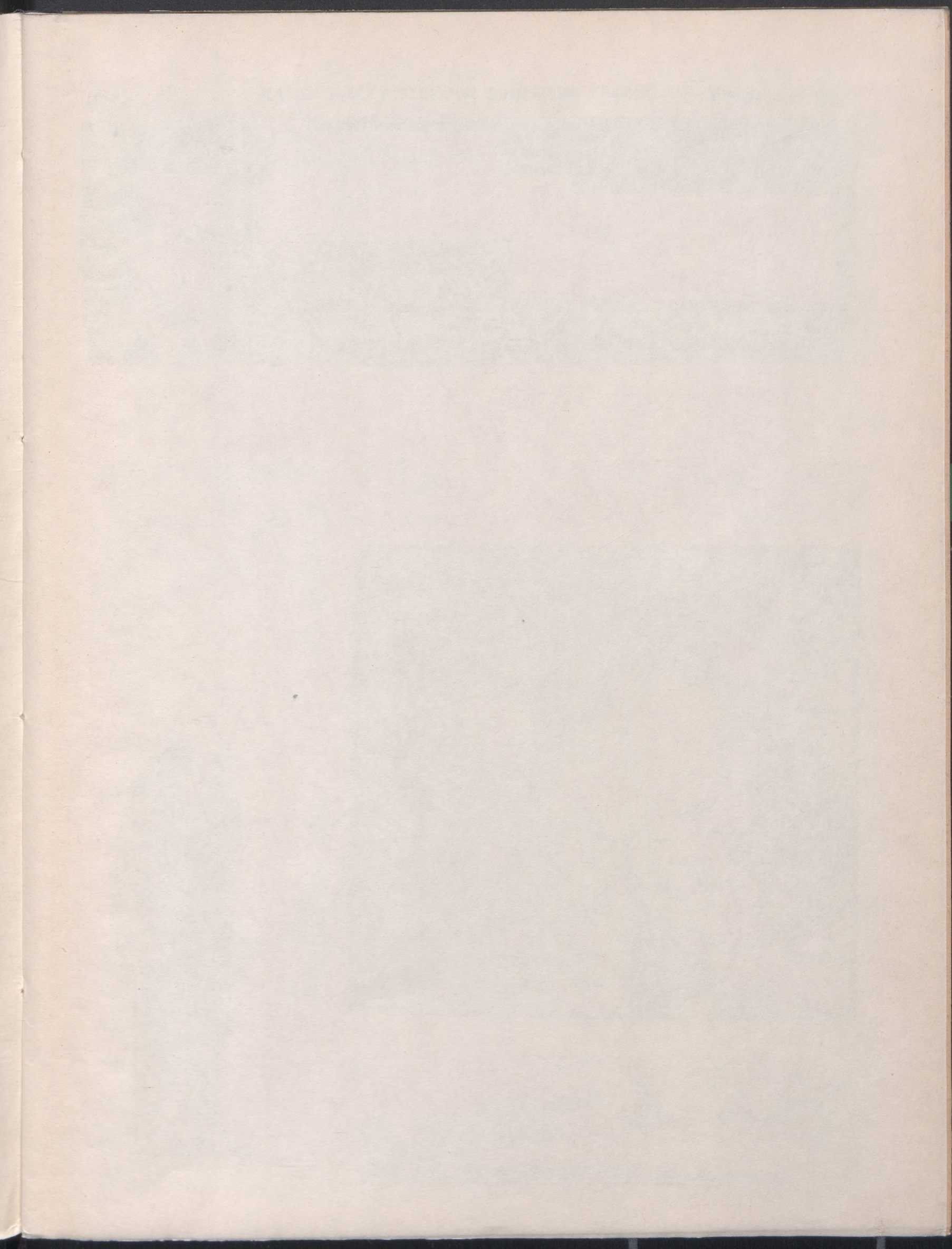
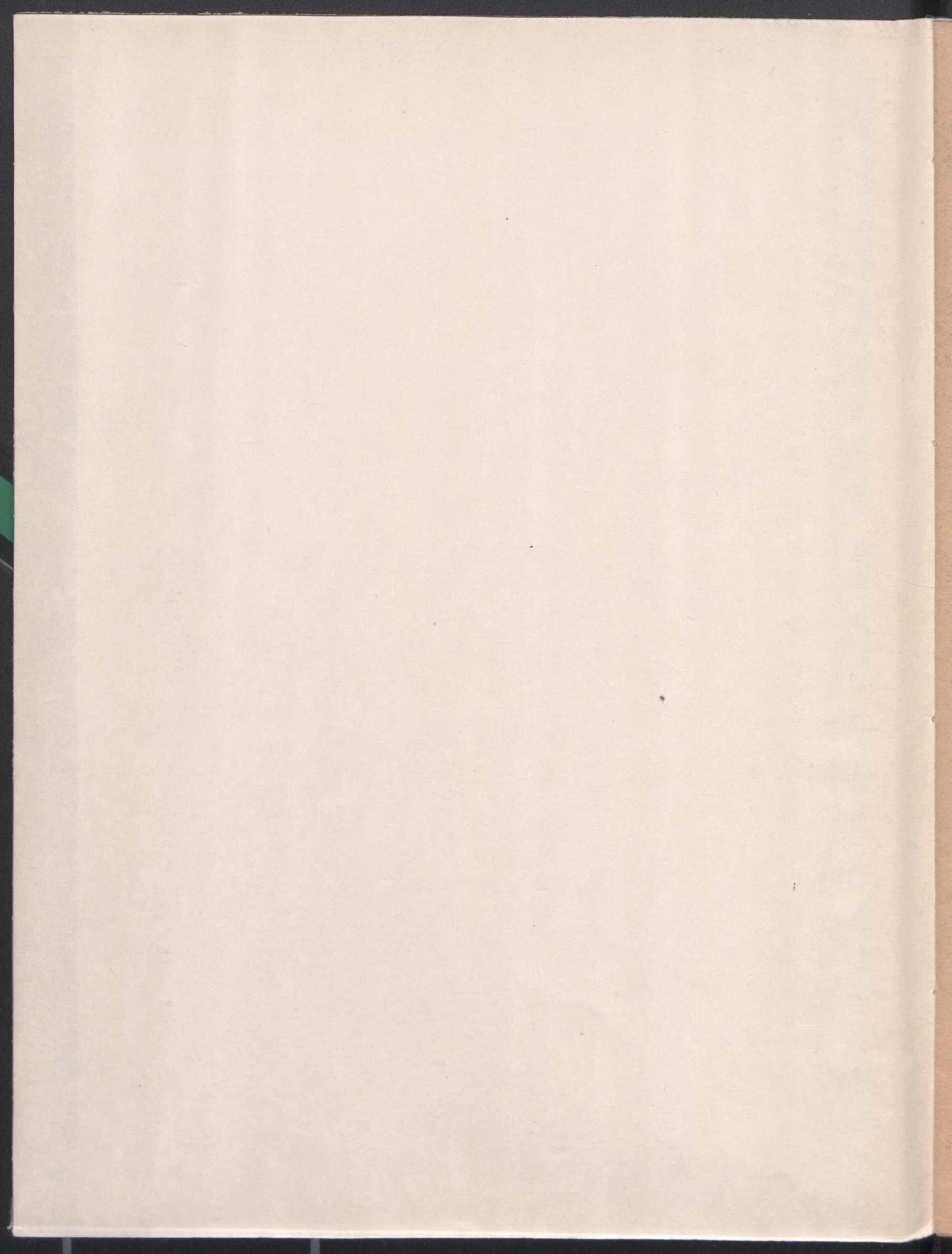


623405\44









11-623.403/44
Nr. 44.

KAŻDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

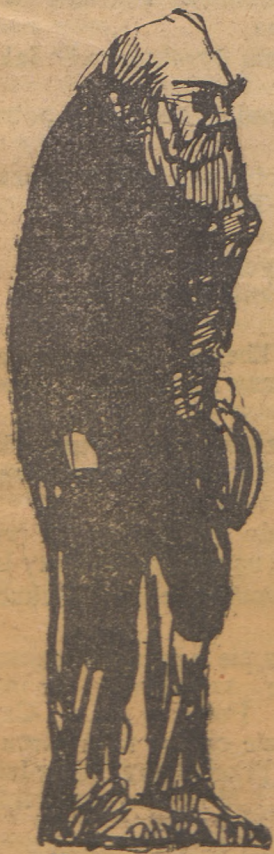
Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

PRZEDZIWNY HOTEL





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Przedziwny hotel

Nowy numerowy

— Proszę o papiery!... Jakie pan ma referencje?... John Blake?... Pracował pan dwa lata na kolejkach podziemnych. Opuścił pan te prace, choć był pan z mej zadowolony, z powodu złego stanu zdrowia. Czy tak?...

— Tak jest.

— Ma pan trzydzieści osiem lat i jest pan kawalerem. Brał pan udział w wielkiej wojnie. Walczył pan we Francji? Czy tak?

— Tak jest.

— Pięknie. Poleca nam pana Mr. Mazotti. W jaki sposób poznał się pan z Mr. Mazottim?

Dyrektor hotelu Palmera sypał tymi pytaniami, — pod adresem człowieka średniego wzrostu, o chorośliwym wyglądzie odzianego w lice bardzo paletko i mającego minę bardzo pokorną.

— Poznałem Mr. Mazotti w Folkestone, w hotelu Downa, ubiegłego lata. Usługiwałem mu przez cały czas i Mr. Mazotti raczył mi wręczyć ten list polecający.

Dyrektor przyglądał się bacznie listowi polecającemu i niewątpliwie dojrzał w nim coś, co uszło uwagi samego Johna Blake, bowiem dyrektor rzucił nagle:

— Nie lat siedzieliście w więzieniu, Blake.

Człowiek zbladł. Zdawało się, że lada chwila zemdleje.

— Teraz te panu wytłumacze, panie dyrekerze, — bełkotał.

— To zupełnie zbyteczne, — przerwał mu dyrektor ostro. — Jestem pewien, że nie przybył pan tutaj po to, żeby nam jakiś kawał zrobić. Tępy pana za drogo kosztowało.

— Zostałem skazany niewinnie, — jękał się Blake.

— Oczywiście, — ironizował dyrektor hotelu. — Jestem pańskiego zdania.

Dyrektor Mr. Palmer nacisnął guzik dzwonka. Zjawił się zarządzający, odziany z zawodową dystynkcją.

— Pan dyrektor dzwonił.

— Nowy pracownik. Zajmie się nim pan, Gilotti.

Gilotti obrzucił nowego powłóczytym spojrze-

niem. Nagle na jego ustach pojawił się pogardliwy uśmiech.

— Jak się masz Nr. 168!

— Dziękuję, — rzekł Blake skonfundowany. — Nigdybym nie przypuszczał, że tutaj znajdę Nr. 167...

— Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem — zawsze. Dobry z ciebie numer, Blake. Pomyśl tylko, że omal ci się nie udało zbiec z więzienia w Pentonville! Wydostać się z Pentonville — ho! ho! — na to trzeba nielada ananasa! Gdyby ci pilnik nie wypadł przez okno na dziedziniec — byłbyś zwiął jak drut!

— Więc jak z tą niewinnością? — rzekł dyrektor.

— Nie jestem niewinny. Nie i nie!

— To rozumiem, przynajmniej. Potrójne zaprzeczenie, czyli potrójna wina.

— Czym mogę służyć panu dyrektorowi? Jakie będę miał obowiązki?

— To się zobaczy. Prowadzić samochód potrafisz?

— I jak jeszcze! Jeżeli sobie pan będzie życzył, mogę ich wprowadzić na dno Tamizy.

— Kogo, mianowicie?

— Choćby gości hotelowych...

— Przestajemy być niewiniątkiem, Blake..

— Tak jest.

— Dobrze. Dostaniesz liberię. Siadziesz za kierownicą. Co dalej — zobaczy się jeszcze. Głodny jesteś?

— Bardzo. Dostaniesz zaraz jeść. Potrawka z kury może być? I naleśniki, i ananas z kremem? Blake aż się obliźnął.

— Już dawno takich cudów nie jadłem. Utyję przy takiej kuchni. A to mi się nawet bardzo przyda.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Palmer podniósł słuchawkę.

— Apartament, składający się z sypialni, salonu i łazienki?... Tak jest proszę szanownego pana. Mamy... Nr. 42. Służę panu... Polecam się... Czy pozwoli pan, że nasz wóz będzie czekał na dworcu? Nie.. Bardzo proszę. Jestem przekonany, że będzie pan całkowicie zadowolony... Moje uszanowanie panu... Sługa oddany...

Palmer odłożył słuchawkę i zacierał rece.

— Dallmeyer dobrze pracował. Van Flies zatrzymuje się u nas.

— Ten brylanciarz z Amsterdamu? — zainteresował się Gilotti.

— Właśnie ten. To bardzo interesująca osoba. Bardzo interesująca.

— W takim razie Blake przybywa w samą porę, — zauważył Gilotti.

— Mazotti wie kogo i kiedy nam polecać... — przekonałem się o tym już nieraz. — Dyrektor zwrócił się do Gilottiego: — Pokaż Blakowi, gdzie jest jego pokój. I wracaj zaraz.

Przez kilka minut samotności — dyrektor i właściciel hotelu w jednej osobie, zagłębił się w przeglądaniu swego małego notatnika.

Gilotti wrócił wreszcie.

— Nie liczyłem, że nasz holenderski ptaszek tak prędko przyjdzie.

— I ja się z tym nie liczyłem. Ale mniejsza o to. Grunt że go mamy!

— Trzeba się będzie pospieszyć, — rzekł dyrektor.

— To nie tak łatwo, Mr. Palmer. Nie widać Bromleka... Nie mamy od niego informacji. A pomocnika nie wolno nam zaczynać.

Palmer zachnął się.

— Bromleck Bromleck... Każe sobie drogo płacić i w dodatku nie wzbudza we mnie zupełne zaufania. Nie mam wcale pewności, czy nas nie wyprzedza, czy nie psuje nam naszych spraw... To chytra sztuka i niebezpieczna...

— Zgadzam się z tym, — odparł Gilotti. — Ale bez Bromleka jest jeszcze gorzej. Trzeba przecież mieć tego latającego holendra na oku, trzeba go śledzić, trzeba wiedzieć kiedy ma kieszenie puste, a kiedy pełne. Bez Bromleka nie potrafimy tego zrobić.

— A Blake?...

— Blake, — odparł Gilotti... — Kto wie? Możeby się i nadał. To bardzo zdolny człowiek i kutwy na cztery nogi.

— Za co dostał się do ula?

— Fałszerstwo weksli, szantaż, oszustwo, defraudacja, działanie na szkodę wierzycieli, usiłowanie włamania...

— To wystarczy, — rzekł Palmer. — Bardzo sympatyczny młody człowiek z tego Blaka.

— To też udało mu się, że wyszedł tylko z dwo ma laty więzienia. Mógłby, jak nic, dostać dziesięć lat ciężkich robót.

— Bardzo zdolny człowiek ten twój Numer 168.

— Trzeba go będzie wprowadzić do roboty

— Pewnie zna kilka obcych języków?

— Ze siedem chyba. Grekę i łacinę zna również. Powiadam — chłop do rzeczy. I co ciekawe, to mianowicie, że był nawet przez pewien czas aktorem. Więc przebierać się i charakteryzować też potrafi.

U drzwi rozległo się lekkie pukanie. Drzwi się otworzyły. Stał w nich chłopiec hotelowy.

— Coś chciał, Jelks! — rzucił Palmer ostro.

— Pewien gentleman pragnie się widzieć z panem dyrektorem. Podał mi swoją wizytówkę, ale w zamkniętej kopercie.

Palmer czytał:

— Edgar Bromleck z Agencji Bromleck.

— Ho-Ho! Sam pan szef do nas się fatyguje. Widać sprawa jest poważna. Pewnie w sprawie van Fliessa.

— Trzeba go przyjąć. Innej rady nie ma. Ale zostań, Gilotti. Wolę, żeby był świadek. Poproś tego pana.

Bromleck był człowiekiem w średnim wieku o imponującej postawie. Wyglądał jak dyrektor banku prowincjonalnego, albo jak mer małego miasteczka w swym surducie i cylindrze.

— Dzień dobry, Palmer. Jak się masz Gilotti? Mam nadzieję, że możemy pomówić spokojnie.

— Właśnie chciałem już po pana posyłać. Tylko nie wiedziałem gdzie i jak...

— Jestem zatem. Jestem sam. Chodzi o sprawę van Fliessa. Domyślam się. Dellmayer nie odstępował go w Ostendzie ani na krok. Na pewno mu radził, żeby się zatrzymał u was, czy nie mam racji?

— Oczywiście. Dlaczego miałby do nas nie zajechać?

— Bo to wzbudziłoby podejrzenie. Van Flies — to wielka ryba brylantowa. Wasz hotel nie ma opinii — powiedzmy — nieskazitelnej. Scotland Yard gotów nam tutaj kogoś zesłać na głowę.

— Nie mogłem mu przecież odmówić...

— Jeżeli panu bardzo zależy na celi w Newgate — niech pan nie odmawia. Zastanówcie się, panowie. Przecież można działać z daleka, z takim samym rezultatem i prawie bez żadnego ryzyka... U Durhama jest miejsce... Jest na pewno. Poślijcie go tam. To jest moje zdanie.

— Czy zgodzi się van Fliess?

— Zgodzi się. Musi się zgodzić. Powie mu się, że nagle rura pękła w jego apartamentcie, że gaz się ulatnia tynk się wali... Jest tysiące sposobów, żeby go się pozbyć. A przecież — sto pięćdziesiąt metrów korytarzem podziemnym — to nie wielka rzecz.

Palmer i Gilotti aż krzyknęli ze zdziwienia i gniewu.

— Tak jest, moi panowie. Znajomość sekretów — to mój fach. Te dwa hotele łączą się. Od Kennington Road do Fitzalan Street jest daleko. Trzeba iść górą, wokoło. Ale dołem, pod ziemię, przez dobrze utrzymane piwnice droga jest krótka...

— Zatem wyperswadujemy, — ciągnął szef przyważnego biura detektywów, — mijnheer van Fliessowi, żeby sobie stanął w Hotelu Durham. To nam trudności nie może nastreczyć. Trudniej będzie „opracować“ tego pana. Przyjechał do Londynu w ścisłej tajemnicy. Ma nabyć od pewnej rodziny spokrewnionej z domem królewskim wspaniałe jakieś kosztowności. Panowie arystokraci potrzebują pieniędzy.

— Cóż to za rodzina?

— Nie pytajcie za wiele. Nie wiem. Powiedźcie mi raczej w jaki sposób van Fliess się zameldował?

— Dzwonił z Duwru.

— I podał swoje nazwisko?

— A czemu miałby go nie podać?

Bromleck zmarszczył brwi.

— Nie podoba mi się to wcale.

— Dlaczego.

— Dlatego, że taką rozmowę telefoniczną może słyszeć jednocześnie z wami kilkanaście jeszcze osób. Bardzo się dziwię, że van Fliess o tym nie pomyślał.

Przez dłuższą chwilę człowiek ten bił się z myślami.

— Mam! — zawołał wreszcie. — Czy Holender polecił wam, abyście po niego przysłali wóz na dworzec?

— Nie.

— Naturalnie, że nie. Bo dzwonił nie z Duwru, tylko z Londynu. Nie. Ten człowiek nie jest tak lekkomyślny, jak się nam zdawało.

— Zatem wypada nam tylko czekać na niego i skierować do Durhama.

— Tak jest.

— Czy potrzebuje pan od nas jakichś informacji, Mr. Bromleck?

— Nie, dziękuję. Moi ludzie zaraz zaczynają pracę. Wszystko jest już przygotowane.

— Wiedzieliśmy, że tak będzie.

Palmer wstał, z uśmiechem wyciągnął dłoń do Bromlecka i pożegnał się z nim jak najserdeczniej. Również Gillotti uścił mu mocno dłoń.

W drzwiach dla służby, ku którym się prywatny detektyw skierował, zatrzymał się na chwilę, by zapalić cygaro.

Jakiś szczupły człowiek skierował się ku tym drzwiom.

— Jackie?...

— Jestem, mistrzu.

— Jak tam?

— Piwnica jest łatwa do przejścia. Wejście jest za górą koksu, wyjście koło zapasów drzewa.

— Wiem o tym. I co dalej?

— Jedzenie jest bardzo dobre.

— Winszuję ci. Wiesz... Holender idzie do Durhama.

— Tak jest, mistrzu.

Drzwi zamknęły się i Mr. Bromleck ruszył szybkim krokiem przez ulicę, pogwizdując jakąś starą piosenkę.

Pięciu niezadowolonych

Zbrodnia w Hotelu Durhama nie wzbudziła większego zainteresowania. Nawet władze nie zainteresowały się nią szczególnie. Podróżny — zamordowany w hotelu i okradziony... Przecież to sprawa zupełnie banalna. Nazajutrz po przyjeździe do Londynu znaleziono brylanciarza van Fliessa z Amsterdamu, bez życia, w pokoju, w hotelu Durham.

Dochodzenie wskazywało, że zbrodniarz nie miał zamiaru pozbawić swej ofiary życia. Chciał go tylko uśpić. Ale Holender — cierpiący na serce — zmarł wskutek zbyt silnej, jak na jego kompleksję, dawki chloroformu.

Goście w hotelu — nieliczni w owym czasie — byli ludźmi o nieskazitelnej opinii. Personel uchodził również za będący poza wszelkimi podejrzeniami. Portier zamykał drzwi hotelu koło pierwszej w nocy. Denat przybył do hotelu przed zamknięciem drzwi. Nikt w nocy do budynku nie wchodził. Van Fliess padł ofiarą zbrodniarza, który dostał się do jego pokoju najpewniej z ulicy.

Był to człowiek samotny. Nikt z krewnych nie zgłosił się i nie prosił o odszukanie zbrodniarza. Policja była rada, że może tę sprawę jak najszybciej zlikwidować.

Po tygodniu nikt już o tej sprawie nie mówił, ani nie myślał.

W tym właśnie czasie Mr. Bromleck zjawił się w hotelu Palmera i ostro zwrócił się do właściciela lokalu.

— Sprawa wzięła w łeb, — gniewał się. — Ale nie mam zamiaru iść w ślady Scotland Yardu i postawić kropki na całej sprawie. Tutaj ktoś nam chciał figla spletać, ktoś chciał ze mnie zażartować, a ja tego nie lubię.

— Zostaw pan lepiej tę sprawę w spokoju, — machnął ręką Palmer.

— Nie mam najmniejszego zamiaru. Gdzie jest Gillioti?

Zarządzający hotelem zjawił się z miną bardzo niewesołą.

— To pańska sprawka, Gill! — rzucił mu w twarz Bromleck.

— Nie! Myli się pan.

— Zaraz się przekonamy. O której godzinie wszedł pan do pokoju Holendra?

— O drugiej. Nie robię z tego tajemnic. Ale gdy do niego wszedł — już nie żył.

— Być może. Ale czegoś pan tam szukał?

— Chciałem zobaczyć imitację.

— I co dalej?

— Dalej, a właściwie przedtem, nim przez próg przeszedłem poczułem chloroform. Przy świetle lampy od razu się przekonałem, że jegomość już się przeniósł na tamten świat. Więc wzięłem nogi za pas i wyniosłem się z tego pokoju jak najprędzej.

— Temu się akurat wcale nie dziwię. Odwaga nigdy się nie odznaczałaś, mój kochany Gill.

Palmer i jego podwładny milczeli. Nie śmieli przeciwstawić się temu człowiekowi. Bezwiednie uznawali swą niższość.

— Skąpo licząc, — rzekł Bromleck, mocno zamysłony, — straciłem na tej sprawie ze trzy tysiące funtów. Obliczę się za to z panem, Palmer. Nie żądam tych pieniędzy od pana w tej chwili, ale już je sobie odbiorę we właściwym czasie. Popsuliście mi interes...

Bromleck wstał.

— Zawiadomię was o sobie, gdy będę uważał za właściwe.

Palmer wylał cały swój zły humor na swego zarządzającego.

— Nie wierzy nam! I pomiata mną, jakbym był jego parobkiem. Nie mówię, żebyśmy nie mieli zamiaru wyprzedzić go w tej holenderskiej sprawie, a faktem jest, że ktoś nas i jego wyprzedził.

— Ktoby to mógł być, skoro van Fliess nie miał w ogóle przy sobie żadnych kamieni podczas swego pobytu w hotelu Durham.

— Kto ci to powiedział?...

— Policja przecież ustaliła...

— Policja, — zaśmiał się Palmer, — przecież van Fliess przemycił te kamienie do Anglii i dlatego na pewno naszej policji nie powiadomił, że je wiezie ze sobą.

Gillioti był zupełnie zbity z tropu.

— A gdyby nawet... Jeżeli miał coś w swoim pokoju w hotelu, to tylko imitację.

Palmer uczynił gest porozumiewawczy.

— A to?... Jak się ten kamyczek podoba?...

Właściciel hotelu sięgnął do kieszonki od kamizelki i wyjął z niej mały jakiś przedmiot, który wręczył swemu pomocnikowi. Ten wydał okrzyk zdumienia.

— Do licha!... Przecież to szmaragd, i to nie byle jaki... Wart duże pieniądze...

— Nie, o ten jeden chodzi... Wnoszę tylko z tego, że Holender miał ich więcej. Widać, że ten kamień był w oprawie i że był tylko częścią jakiejś sztuki.

— Gdzie to pan znalazł?

— W tunelu... W przejściu do piwnic.

— Może pan chce przez to powiedzieć, że ja zgubiłem!

— Nie, — rzekł Palmer ze spokojem. — Nie podejrzewam pana wcale. Ale twierdzę, że człowiek, który chcąc czy nie chcąc, wyprawił Holendra na tamten świat — przeszedł też drogą podziemną.

Gillioti nachmurzył się.

— Właściwie co to za jeden ten Bromleck, Barwieny.

— I ja o tym myślę...

— Powiada, że ma w mieście jakieś prywatne biuro wywiadowcze. Ale nikt nie zna adresu tego biura. Pisać do niego trzeba na poste restante do oddziału pocztowego przy Stacji Bricklayer.

— Albo można się z nim porozumieć za pomocą drobnego ogłoszenia w „Times“, głoszącego, że suczka Mirta, Mella albo Trella zginęła. Co dwa tygodnie zmienia nazwy tych piesków.

— Przed dwoma laty dał nam znać o czekającej nas rewizji. Miał rację wtedy. Od tego czasu oddaje nam wcale nieźle usługi — nie przeczę.

— Trzeba by go śledzić.

— Dajmy spokój, Mr. Palmer. Pamięta pan Crooka?

— Pamiętam... Marnie skończył.

— Kiepsko jest, Gillioti.

— Bardzo kiepsko. Ale może nam się ten John Blake na coś przyda.

— I ja w to wierzę, Mr. Palmer.

★

W tym samym czasie, John Blake, w którym tak poważne nadzieje pokładali jego zwierzchnicy, spędzał swe wolne popołudnie w sposób bardzo dziwny.

Zamiast spacerować po mieście i przyglądać się oknom wystawowym — ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku kanału Surrey, a gdy znalazł się obok kościoła Św. Jerzego — począł się rozglądać mocno podejrzliwym okiem. Jeśli się teraz zatrzymał przy oknach wystawowych, to tylko po to, aby w lustrach i szynach ujrzeć co się za nim dzieje.

Gdy dotarł wreszcie w ten sposób do krańca St. George Street i gdy skręcał ku East Surrey Grove — nagle stanął jak wryty. Poczul, że ktoś go śledzi.

Człowiek, którego o to podejrzewał, miał jednak wygląd bardzo niewinny.

Był to człowiek o wyglądzie jakiegoś młodzika z prowincji. Oglądał z wielkim zdumieniem domy, sklepy i kanał.

Ale Blake był za starym wygą, aby się dać wziąć na te sztuczki.

— Znamy się, — mówił do siebie, — na tych historiach. Sprytna z ciebie sztuka. Wcale mi się to nie podoba. Śledzony, to jakby na pół aresztowany... Trzeba będzie się trochę rozejrzeć w sytuacji...

Mr. Blake zastosował fortel stary, jak świat.

Udawał, że pomylił drogę, po chwili wahania zawrócił nagle i stanął niemal oko w oko z człowiekiem, który go śledził. Drgnął lekko.

— Ho-ho! Będzie się dziwił jak mu to powiem... Tom Wills depcze mi po piętach. A gdzie jest Tom Wills — tam jest i Harry Dickson! Kiepska sprawa...

Niedaleko stały hangary. Wiadomą było rzecz, że każdy z nich miał dwa wyjścia.

Tom Wills, ujrawszy, że nieznamy wchodzi do jednego z tych wielkich składów towarowych był przekonany, iż wyjdzie drugim wyjściem. I młody człowiek pośpieszył jak najkrótsza drogą ku temu wyjściu.

Stary wróbel Blake — przewidział ten manewr i zawrócił właśnie tym samym wyjściem, przez które wszedł.

Biedny Tom czekał cierpliwie u drugiego krańca wielkiego budynku. Po pół godzinie musiał się uznać za pokonanego.

Blake tymczasem błąkał się przez czas jakiś w wąskich uliczkach i rozmyślał. Zdecydował, że do walki z Harrym Dicksonem nie ma ani sił, ani możliwości.

— Trzeba będzie zawrócić, — rzekł do siebie.

Szkoda, że Tom nie mógł śledzić tego człowieka. Przekonałby się bowiem, że Blake, siedzący na ławce nad kanałem, nagle jakby się pod ziemię zapadł.

★

Podczas, gdy Tom z opuszczoną głową wracał na Baker Street, Harry Dickson przebywał w domu jednego z najgłośniejszych arystokratów angielskich — Sira Basila Dorfala.

Bardzo bogaty, prawie asceta i odludek, mieszkał Sir Basil we wspinałym pałacu przy Grosvenor Street. W dużym domu towarzyszył mu tylko syn James, oficer kawalerii na emeryturze oraz bardzo nieliczna służba.

Po dłuższym wyczekiwaniu w ciemnym hallu — poprowadził detektywa sędziwy już niemal lokaj do salonu.

Wysoki, kościsty i na oko bynajmniej nie sympatyczny starszy pan przyjął go bardzo sztywno.

— Nic mi nie skradziono, Mr. Dickson. Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo. Czy mogę wobec tego wiedzieć, po co pan tu się zjawił?

— Mam wrażenie, że jednak coś Waszej Wysokości skradziono. I dlatego właśnie jestem.

— Słucham pana!

— Mówię o diademie zwanym „Rusaiika“.

Detektyw poczuł raczej, że te słowa uczyniły na starcu mocne wrażenie... Ujrzał jednak tylko lekkie podniesienie brwi. Poza tym Sir Basil był nadal całkowicie opanowany.

— Ten diadem jest moją własnością.

— Trzydzieści szmaragdów o bajecznej wprost wartości, wokół wielkiego czarnego brylantu — czy tak?

— Tak jest.

— Przechowuje pan ten klejnot w banku?

— Nie. U siebie w domu.

— Zatem diadem jest fałszywy.

— Tak jest.

Ton starca był ostry i brzmiał jak wyzwanie. Teraz już Sir Basil nie krył swego gniewu i nawet pogardy dla człowieka, który w tak bezceremonialny sposób wkraczał w jego sprawy osobiste.

— Przed dwoma laty, — ciągnął detektyw, — zmuszony brakiem pieniędzy, odstąpił pan ten klejnot grupie jubilerów amsterdamskich. Zapłacili panu, około 50 tysięcy funtów, podczas, gdy wartość rzeczywista samych kamieni sięga dwustu tysięcy.

— Jest pan bardzo dobrze poinformowany, — rzekł Sir Basil z ironią w głosie.

— O wiele lepiej, niż się panu zdaje. Sir. Wiadomo mi mianowicie, że nabywcy zgodzili się w ciągu dwóch lat odstąpić panu ten nabytek, oczywiście po cenie mniej więcej dwukrotnie wyższej, niż cena kupna.

— Zgadza się, — rzekł Sir Basil. — Co pan wie jeszcze?

— Dwuletni termin zbliża się ku końcowi. Przez ten czas udały się panu spekulacje giełdowe. Zwrócił się pan tedy do swych kontrahentów z Holandii o zwrot diadem.

— I ludzie ci przybyli do Londynu...

— Nie kilku, ale jeden tylko człowiek przybył do Londynu. Van Fliess — tak się nazywał.

PRAWDZIWA CZARNA I BIAŁA MAGIA

Każdy kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magii, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Czarodziejska tablica. Lustro magiczne. Półkanie ognia. Płonąca woda. Podnoszenie wielkich ciężarów. Spiewająca flaszka. Jajo w butelce. Zaczarowana różdżka. Jak stać się niewidzialnym. Odnajdywanie ukrytych przedmiotów. Sztuki z rachunkami, z kartami. Seanse spirytystyczne. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy różne książki, komplet z 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802. HD.

UWAGA: Bezpłatnie dodajemy najnowszą wszechświatową „Kabałę Indyjską”. Odgadywanie przyszłości. Sztuka wróżenia z kart i rąk.“



— Został zamordowany w hotelu Durham — wiem o tym.

— A przy tej okazji zniknął pański klejnot o brzymiej wartości.

— I to nie jest dla mnie nowością.

— Ale skargi pan nie złożył, do policji nie pobił pan z meldunkiem. Dlaczego tak się stało, czy mogę wiedzieć, Sir...

Stary arystokrata zerwał się, pasowy z guiewu.

— Jakim prawem wtrąca się pan do cudzych spraw? Co to pana obchodzi? Miałbym złożyć skargę, żeby cały Londyn dowiedział się, że byłem w trudnościach, że zadałem się z lichwiarzami?... Nie, panie. I niech mi pan takimi pytaniami czasu nie zabiera. Żegnaj pana.

Harry Dickson wstał.

— Popełniono zbrodnię!...

— Jakiś cudzoziemiec... Niech się jego władze o niego ujmują.

— Czy istotnie nic panu w tej sprawie nie wiadomo?

Sir Dorfał wzruszył ramionami.

— Nie, nic.

— W jakich warunkach poznał pan Van Fliessa?

— Przyszedł do mnie, tu do mieszkania. Nie wiem w jaki sposób dowiedział się, że jestem w trudnościach i uczynił mi propozycję nabywania całej sztuki. Od razu wysunął tak dla mnie korzystny i ważny warunek — prawo wykupienia klejnotu po dwóch latach. Wyrzuciłem go za drzwi. Ale ten człowiek zjawił się u mnie raz jeszcze. Ofiarowywał mi sumę, która mogła mnie postawić na nogi. Zgodziłem się wreszcie.

— Czy zależy panu na odzyskaniu klejnotu?

Starcowi załamał się głos:

— Bardzo... bardzo mi zależy.

— Czy zechce mi pan okazać pomoc?

— W jaki sposób?... Nie znam się na tym. To pański zawód. Czyż pan wszystko, co trzeba. Honorarium sam pan wyznaczy.

— O tym pomówimy później. Na razie chodzi o wykrycie całej szajki...

Detektyw pożegnał arystokratę.

Dickson nie był zadowolony. Nie on jeden był tego dnia niezadowolony.

Palmer i Gillioti, Bromleck, Tom Wills i John Blake — wszyscy z samym Harrym Dicksonem na czele byli mocno z całego dnia niezadowoleni.

Putapka w hotelu Palmera

— Czego się dowiedział w hotelu Durham? — zagadnął ostro detektyw swego młodego ucznia.

— Nic godnego uwagi. Taki sobie spokojny hotelik i nic więcej. Ale gdym szedł przez Kennington Road i gdym mijął inny hotel — mocno podejrzany — hotel Palmera mianowicie...

— Mocno podejrzany, — przerwał mu detektyw — masz rację...

— Otóż, gdym koło tego hotelu przechodził, ujrzałem, nie odgadnie pan kogo...

— Gadaj... Nie mam czasu na zagadki

— Johna Blake.

Detektyw palił swą nieodstępną fajkę. Gdy usłyszał to nazwisko — wyjął fajkę z ust.

— Blake! Nie omyliłeś się?... Czy jesteś tego pewien?...

— Widziałem go na własne oczy. Jak pana widzę, mistrzu!

— Dobrze. Co dalej powiesz?

Tom zaczął teraz trochę mniej pewnym tonem: Ruszyłem za nim. Uważałem, że warto wiedzieć, gdzie taki pan przebywa. I zgubiłem go...

Detektyw przez chwilę pogrążony był w głębokiej zadumie. Wreszcie zwrócił się do swego młodego pomocnika tonem ojcowskiej perswazji.

— Widzisz, mój kochany, nie trzeba czasami zbyt stanowczo coś twierdzić. Powiadasz naprzykład: że widziałeś Blaka. A tymczasem wiadomo, że John Blake zmarł przed rokiem w więzieniu w Pentonville. Albo to nie był on, albo, jeżeli to on był na pewno, to człowiek, który zmarł w więzieniu nie był nim... Coś w tym musi być. Szkoda, żeś tego domniemanego Blaka stracił z oczu.

— Wobec tego wracam do hotelu i poszukam tego ptaszka. Muszę wiedzieć, czy mam dobry wzrok, czy zły.

Dickson zaprzeczył ruchem głowy.

— Na razie damy temu spokój. Jeszcze się z tym hotelem porachujemy. Na razie trzeba znaleźć jakiś punkt zaczepienia w sprawie klejnotu Sir Dorfała. Zdaje mi się, że wiem czyje w tym ręki szukać. Mister Artur Torpe — oto sprężyna tego wszystkiego.

— Torpe! — zawołał Tom, odzyskując dobry humor. — Czy ten człowiek istnieje rzeczywiście, ma skórę i kości i nie jest tylko jakimś postrachem dla niegrzecznych dzieci urzędników Scotland Yardu?

Dickson spojrzał nań z powagą:

— Nie żartuj, chłopcze. Niestety, Torpe — to człowiek z krwi i kości, choć umnie się kryć jakby był widmem. Jest to jeden z najbardziej przebiegłych, z najbardziej oryginalnych zbrodniarzy, jakich znałem. Sprawa z van Fliessem — to jakby kopia innej sprawy, w której zginął brylanciarz z Antwerpii — Meerhage. Okoliczności obu tych spraw były identyczne. Zginął, gdy przybył do Londynu, aby zwrócić klejnot właścicielom, tak samo, jak van Fliess.

— Nie jest jednak wykluczone, że przestępca dzisiejszy wziął sobie za wzór tamta zbrodnię na jubilerze Meerhage.

— W takim razie jedna zbrodnia byłaby wierną kopią drugiej. Ale tutaj są małe zmiany. Są warianty, świadczące o tym, że nasz złoczyńca jest po prostu genialny. Zresztą — nie zapominajmy, że ten pan nie zwykł zadawałać się byle czym. Działo rzadko, ale zagarnia olbrzymie wprost łupy. To prawdziwy artysta zbrodni.

— Zdaje mi się, że Mr. Torpe lubi, aby za niego ktoś inny gorące gruszki z popiołu wyjmował — rzekł Tom...

— Bardzo słusznie. To jego zasadnicza cecha. Nie występuje sam. Posługuje się podstawionymi ludźmi...

Detektyw ziewnął z lekka.

— A niechże tego Johna Blake!...

— Dlaczego przyszedł panu ten człowiek na myśl?...

— Ot — tak sobie. Przez szczególny zbieg okoliczności... Detektyw począł mierzyć dużymi krokami wzdłuż i wszerz swój gabinet.

— Masz rację. Będziemy musieli zaraz wybrać się do zakładu Mr. Palmera.

— Ale przecież zbrodnia została popełniona w hotelu Durham.

— Właśnie, właśnie... Niechcący trafiłeś w samo sedno. Durham i Palmer, Palmer i Durham... Jakoś za często trzeba wspominać drugiego, gdy się mówi o pierwszym i naodwrot. Trzeba będzie to wszystko zbadać. Mam pewien plan. Zastawimy na nich sidła. Zadzwoń do Mr. Goodfielda i powiedz, że proszę go do siebie, możliwie zaraz.

★

Ktokolwiek widziałby Dicksona wchodzącego nazajutrz do hallu hotelu Palmera — powziąłby bardzo słabe wyobrażenie o talencie tego znakomitego detektywa.

Charakteryzacja Dicksona była tak opiakana i tak nieudolna, że o trzy mile wyczuwało się w nim detektywa. Bródka jakaś śmieszna i przyczepiona na bakier, krawat o bezlitosnej jaskrawości, sztywny kapelusz za duży i jakiś przedpotopowy zakiet — wszystko to tworzyło całość jak z lichej operetki.

Gillioti, który zapisywał go jako Mr. Edwina Coppera, omal nie roześmiał mu się w twarz. Tylko lek przed wielkim detektywem psuł mu humor.

Zarządca pobiegł czym prędzej do właściciela.

— Wpadliśmy, dyrektorze. Wie pan kim jest ów Mister Copper spod 101?

— Księciem Walii nie jest w każdym razie.

— Nie ma co żartować. To sam mister Harry Dickson we własnej osobie!

Palmer począł drzeć.

— Trzeba uprzedzić Bromlecka, może nam pomoże.

— Nie mam zaufania do Bromlecka. Już o tym mówiliśmy... Dany sobie inaczej radę.

— Jak?... Bo ja zupełnie nie wiem.

— Zrobimy porządek z Dicksonem raz na zawsze. A potem — w nogi.

— Myślisz o windzie?

— Właśnie. Nie ma nic lepszego. Sprawa się skończy utonięciem w kanałach miejskich. Nawet Dicksonowi może się taki wypadek zdarzyć.

Palmer zamyślił się.

— Wprawdzie właśnie w takim celu całą tę rzecz zbudowaliśmy, ale czy aby się coś nie zepsuje?...

— Spróbujemy. Właśnie na Dicksonie warto spróbować...

Po kilkunastu minutach Gillioti już pukał do pokoju Nr. 101.

— Mr. Copper?... Chcieliśmy pana bardzo prosić o opuszczenie pokoju na kilkanaście minut — trzeba sprawdzić ogrzewanie centralne. Może pan będzie łaskaw zjechać na dół windą, poprosimy pana na ten czas do salonu...

— Mr. Copper nie ociągał się.

— Bardzo proszę. Właśnie i tak miałem zejść na dół.

Mr. Copper czynił właśnie beznadziejne wysiłki utrzymania swej odpadającej brody. Gillioti otworzył mu szeroko z eleganckim ukłonem drzwi windy.

Dickson przekroczył próg windy. Broda spadała mu na podłogę.

— Szczęśliwej podróży, Mr. Dickson! — rzekł Gillioti, śmiejąc się złowrogim śmiechem.

Detektyw postawił nogę na podłodze wciągu. Czerwony dywan poddał się pod jego stopą. Po chwili Dickson siedział już na poprzecznych belkach windy.

— Niech pan nie próbuje spuścić windy, Gillioti. Nie czynna... I proszę stać spokojnie, bo strzele. To samo — ty młody człowieku, obsługujący windę! A oto są moi pomocnicy.

Cały oddział wywiadowców nadbiegł na odgłos strzału.

Palmer i Gillioti zostali zatrzymani.

Po kilkunastu minutach wiedział już Harry Dickson o Johnie Blake, o dziwnym panu Bromlecku i o zabójstwie Holendra to wszystko, co wiedzieli w tej sprawie właściciel hotelu i jego pomocnik.

Detektyw przebiegł przez podziemne przejście łączące dwa hotele.

— Palmer i Gillioti — wyjaśniał Dickson Goodfieldowi, — poczynili tylko drobne przygotowania. Sprawą kierował kto inny, ktoś stoćkroć od nich niebezpieczniejszy: Mr. Bromleck.

— Któż to taki? — zagađnął go intendent Scotland Yardu.

— Jestem pewny, że to nikt inny, jak Artur Torpe. To wszystko było w jego stylu.

— Trzeba było i na niego zastawić sidła. — rzekł Goodfield.

— Sidła na Torpa?... Jeszcze się ten nie urodził, co by je zastawić potrafił. To bardzo przebiegła sztuka, ten Torpe.

★

Było ciemno i ciał lekki deszczyk, gdy na drzwiach hotelu Palmera zakładał policjant urzędowe pieczęcie. Ulice były wyludnione.

Nikt nie zwrócił uwagi na małego cygana, odzianego w szerokie niebieskie szarawary, o czarnych kędzierzawych włosach i śniadej cerze, który z tobołkiem w reku śpieszył się, aby jak najnniej zmknąć pod deszczem.

Cygan nawet nie spojrzął na policjantów w mundurach i wywiadowców, którzy krzatali się koło hotelu i lokali dwóch aresztantów Palmera i Gilliotiego w samochodzie policyjnym.

Dwa samochody ruszyły. Cygan poszedł swoją drogą — w kierunku przedmieścia.

Gdy wreszcie pierwszy z wozów zatrzymał się przed budynkiem policyjnym, drugi nadjechał po chwili również i zatrzymał się tuż za nim.

Z drugiego wozu jakoś nikt nie wychodził.

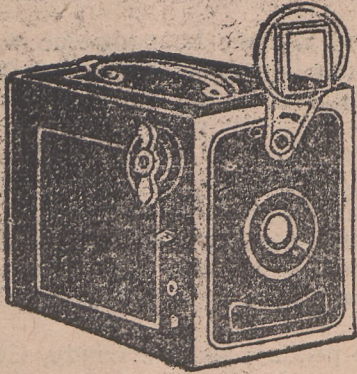
— Śpicie tam, czy co! — niecierpliw się Goodfield.

Ale Harry Dickson biegł już do wozu, pełen gniewu i tajonej jeszcze trwogi. Jakiś mdły, przejmujący zapach unosił się z głębi wozu.

— Otwierajcie drzwi — wybijcie okna! Prędzej!

— Chloroform, jak w hotelu Durham. — rzekł detektyw.

Wywiadowcy wydobyli cztery ciała. Zaalarmowano lekarza. Ale pomoc była już bezcelowa Pal-



APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord”, efektywnie wykonany, wysyłamy łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i pouczeniem za zł. 8,95 na listowne zamówienie. Placi się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, Warszawa, Pl. Napoleona I.
skr. poczt. 802 H. D.

mer i Gillioti oraz dwaj posterunkowi nie żyli. Zmarli od bomby trującej.

— Kto ją mógł wrzucić? — zastanawiał się detektyw.

Powoli przed oczami Dicksona zarysowała się w mgłę i deszczu sylwetka cygana.

W tym samym momencie młody cygan, znalazłszy się na łące Goose Breen — znikł, jakby go ziemia pochłonęła.

Nowy sojusznik

Harry Dickson zwrócił akta urzędnikowi ministerstwa spraw zagranicznych i pokiwał głową.

— Wierzyć się w to nie chce. Sprawa, jak widać, była przygotowywana od dawna. Wszystko było z góry uplanowane, ukartowane i opracowane. John Blake umiera w więzieniu i już po godzinie nadchodzi dyspozycja od panów, nakazująca nie publikowanie tego wypadku. Oczywiście, nikt nie zastanawia się nad dyspozycjami ministerstwa, a ponieważ zmarły jest tylko lichym człowieczkiem nikomu na myśl nie wpada, aby skontrolować autentyczność tego zarządzenia.

Urzędnik wzruszył ramionami i wyznał szczerze i otwarcie, że się w tej sprawie bardzo słabo orientuje. Detektyw pożegnał go. Po drodze monologował do siebie.

— Czuje w tym wszystkim Mr. Artura Torpe... Potrzebny mu był Blake, bo Blake znał Gilliotiego i bo mu był potrzebny zaufany człowiek w hotelu Palmera. Zabójstwo van Fliessa było również uplanowane od chwili, gdy słynny klejnot opuścił granice Anglii. Trzeba przyznać, że z tego Torpe — to mistrz prawdziwy.

Opodal Grosvenor Street Dickson zatrzymał się.

— Trzeba się będzie skomunikować z sir Dorfałem. Może od niego, albo choćby u niego dowiem się czegoś nowego.

Arystokrata przyjął go z otwartymi ramionami. Poczynił jakieś odkrycie w dziedzinie zwalczania szkodnika w ziemniakach i był z tego powodu w bardzo pogodnym usposobieniu.

— Czym mogę teraz służyć panu, — zakończył Sir Dorfał swe dłuższe wywody o swym odkryciu.

— Dajmy na to, Sir, że przynoszę panu wiadomości o diademię...

Sir Dorfał spoważniał nagle i spojrzał badawczo na detektywa.

— Cóż to będą za wiadomości?

— Wiem, gdzie szukać klejnotu.

— Brawo... Brawo!... Czemuż mi go pan nie przynosi?

— Tak prosto ta rzecz się nie przedstawia.

Wiem gdzie go szukać, ale jeszcze nie wiem jak go tam znaleźć.

— Nie powiem, aby pan mówił wyraźnie.

— Postaram się zatem być więcej ścisłym. Znam nazwisko człowieka, który posiada pański diadem, Sir.

— Doprawdy?...

— Tak jest. Człowiekiem tym jest niejaki Artur Torpe.

Dickson spodziewał się, że nazwisko to uczyni na starym arystokracie mocne wrażenie. Ku zdziwieniu detektywa stało się jednak inaczej. Sir Dorfał może się maskował, ale maskował znakomicie.

Dickson wstał. Postanowił zaryzykować i nagle wypalił:

— Jakie były pana stosunki z Torpem?

Sir Basil i tym razem nie drgnął.

— Czy pan oszalał, — rzekł spokojnie. — Czy mam na pana złożyć skargę?

Ale detektyw dostrzegł już jakieś dziwne lśnienie w oczach swego rozmówcy. Przez ułamek sekundy odczuł w oczach starca rozpacz zagnanego zwierzęcia.

— Trzeba szukać wśród tych ludzi, którzy wnieść mogli z tej zbrodni jakąś korzyść. A panu, Sir Dorfał, była ta zbrodnia bardzo na rękę. Dostałby pan klejnot, nie wnosząc zań ani grosza. W sprawie Meerhage sytuacja była podobna. Klejnot należał do rodziny, z którą był pan spokrewniony i której był jedynym spadkobiercą.

— Szaleństwo... — mamrotał Sir Dorfał... — Prostu szaleństwo. Ale będę z panem szczerzy. Faktem jest, że jakaś osobistość bardzo tajemnicza nawiązała ze mną kontakt. Pierwszy raz podczas sprawy Meerhage, drugi raz tuż przed zabójstwem van Fliessa. Pytał mnie ten człowiek o szczegóły dotyczące obu klejnotów. Nie udzieliłem mu żadnych wyjaśnień. Nie przyjąłem go nawet. Być może, iż tym człowiekiem był właśnie ów Torpe, który panu serduszko spędza. Nie wiem. Wiem tylko, że przedstawił mi się jako Bromleck — właściciel jakiejś agencji.

— Bromleck — powtórzył detektyw... — W notesie nieboszczyka Gillioti figuruje i to nazwisko, brak jednak adresu, brak w ogóle jakichkolwiek wyjaśnień.

Torpe był Bromleckiem... Tyle wynikało ze słów Dorfała, który tym razem na pewno mówił prawdę... Ale i to było bardzo niewiele.

— Żegnaj pana, Sir Dorfał. — Zdaje mi się, że popełniłem gafę. Proszę mi darować, ale tylko ten nie błądzi, kto nic nie robi.

— Słusznie! Poddzielam pańskie zdanie. — Sir Dorfał był w bardzo dobrym humorze. — Szkoda

Tylko, że mi pan zabrał tyle czasu... Ale jakos to sobie powetuje...

W tym momencie rozległ się w domu straszny, przerażający krzyk bólu i gniewu. W następnej chwili do uszu detektywa dobiegły odgłosy szamotania.

Sir Basil zbladł.

— Przepraszam pana, ale muszę zobaczyć, co się tam dzieje.

— Przecież tam się jacyś ludzie bija. Czy nie mógłbym okazać się pomocnym?

Starzec zaprzeczył gestem.

— To mój syn, Sir James... Mój jedyny syn, ten, który od czasu wielkiej wojny, po ranie głowy stracił rozsadek. Niekiedy wpada właśnie w taki straszny stan. Już na pewno zajęli się nim pielęgniarze. Pewnie wymknął im się.

Detektyw wyszedł.

Sir Dorfal, gdy został sam padł w fotel i ukrył twarz w dłoniach. Dwie ciężkie łzy spłynęły po jego starczym, zwiedłym policzku..

★

Tego samego wieczora w nędznym pokoju, jedynym z odnajmowanych przez sklepikarza w Soreditch — zapaliła się lampa.

Człowiek, odziany w szerokie palto nieprzemakalne, lśniące od deszczu, zasiadł przed stołem służącym mu za biurko, skierował światło małej lampy w ten sposób, aby twarz jego pozostawała w cieniu i przez dłuższą chwilę trwał pogrążony w myślach.

— Ciekawym, — rzekł wreszcie do siebie, — czy się tamten domyśla czegoś... — Począł gwałtownie bębnić po stole, po czym dodał:

— Sytuacja nie jest znakomita. Całe szczęście, że ten pech jakos w ostatniej chwili mnie ominął. Co za idioci ci dwaj, Palmer i Gillioti. Zdawało im się, że załatwia się z Dicksonem jak z niemowleciem. A zresztą co mieli do niego? Nie przeszkażal mi zupełnie. Szkoda... Coraz trudniej mi zakończyć rozpoczęte dzieło. Potrzeba mi dużo pieniędzy... Bardzo dużo pieniędzy. Stary Basil nie ma ich już wcale prawie. Zresztą nie chcę go zostawić zupełnie na diasku.

Na stole leżał plan Londynu.

— Kennington Road, — mruczał nieznajomy do siebie... Co za wspaniała droga podwodna, aż do Peckham Rye! Nie Dickson! Jeszcze nie dorósł, aby poznać prawdziwą tajemnicę hotelu Palmera! Jaka szkoda, że na to wszystko trzeba tyle pieniędzy!...

Zgniół plan w kulę i wrzucił go do ognia na kominku, po czym rozejrzał się wokół.

— Agencja Bromlecka na nic mi się już nie może przydać. Tutaj będę musiał się kryć. Choć nie wątpię, że gdzieś, jutro czy pojutrze, mój pan Dickson zjawi się w tym właśnie pokoju i będzie szukał po wszystkich dziurach i kątach... Przybędzie zapóźno, jak zawsze zapóźno... Nie dorosł do mnie ci panowie...

Zgasił lampę i po omacku ruszył przez ciemny korytarz.

Po dwóch godzinach koło północy przy Bethnal Green zatrzymał się samochód. Wysiadło z niego trzech gentlemanów. Wszyscy trzej ruszyli ku Soreditch Street.

Nagle jeden z nich odwrócił się, skierował się w bok i z ciemnej niszy wyciągnął po prostu jakaś ciemna sylwetkę, tylko zlekka mu się opierająca.

— Jesteś, stary Billu!... Nie przestajesz zebrać... Nie odzwyczaisz się od tego nigdy? Do roboty, leniu patentowany!

— Moje uszanowanie panu intendentowi. Zebrałem tylko łaski Morfeusza. Byłem śpiący, ale jakoś zasnąć nie mogłem... Człowiek kiepsko sypia ostatnio.. A pan szanowny, jak sypia?

— Dickson, — rzekł intendent.—Jeżeli nie masz jeszcze przyjemności — to ci przedstawiam: Old Bill, jeden z najzagorzalszych leniów w całym Londynie. Pan ten ma jednak tę wielką zaletę, że zna Soreditch, jak nikt inny.

— Bardzo mi przyjemnie. Ale na co zda się nam jego znajomość Soreditch.

— Podaj mu, — rzekł Goodfield, — rysopis naszego ptaszka, a na pewno ci go odnajdzie.

— Odnaleźć kogo?... To może panowie szanowni myśla, że ja będę kapuś?... Że ja zdradzę biednego człowieka? O, co to — to nie! Za żadne skarby, nie!

— To wcale nie biedny człowiek, a bardzo bogaty. Wielki człowiek i może nawet morderca. Rozumie pan, Old Bill. — Dickson zirytował się nagle. — Co ma pan z nim wspólnego?... Chyba zbrodni jeszcze Old Bill nie popełnił?...

— W takim razie — w porządku. Jestem do usług. Za pół gwinei — wszystko da się zrobić. Żeby tylko go znał.

Detektyw opisał staremu Billowi wygląd człowieka, którego poszukiwał.

Pomimo, że ów rysopis nie był wcale doskonały, Old Bill od razu ożywił się i oświadczył, że wie o kogo chodzi.

— Mieszka u Browna. Ubrany jest jak hrabia. Znam tego ptaszka. Od razu sobie pomyślałem, jakim go po raz pierwszy zobaczył — że to jakaś gruba ryba od złodziejstwa. Mieszka u Browna, starego wyjadacza, który sam wiele wart nie jest.

— Obudzimy Mr. Browna.

— Zbudzony ze snu, Mr. Brown okazał w pierwszej chwili wielkie niezadowolenie. Uciekł dopiero wówczas, gdy się przekonał, że ma do czynienia nie z policją.

— Tak jest. Mieszkał taki u mnie. Stone się nazywał. Pokój od podwórza. Płacił regularnie. Tyle mogę powiedzieć. Nie poznałbym go nawet.

— Ale ja bym go poznał, — rzucił Old Bill.

— Czego ten stary żebrak tu chce? Kto mu pozwala mieszać się do nieswoich spraw? Co to znów za moda?

— Policja! Rozumiesz pan? Po-li-cja!... Mam pana zamknąć?!

Old Bill oburzał się jak stary posterunkowy, którego władzy ktoś uchybił.

— Co?... Old Bill w policji?... Wielkie nieba. To chyba jutro już będzie koniec świata.

Detektyw położył kres tej groteskowej scenie, nakazując Brownowi, aby poprowadził ich do pokoju zajmowanego przez rzekomego Stona.

Detektyw znalazł w pustym pokoju ciepły jeszcze popiół na kominku, puste szuflady i światło księżycy leżące srebrną taflą na podłodze.

— Pusto, mój kochany Good, — rzekł Dickson, — spóźniliśmy się.

Old Bill chodził z kąta w kąt.

— Wcale nie elegancki pokój, jak na gości, który kradł miliony.

— Miliony! — westchnął Brown. — Skąd wiesz o tym, Old Bill?

Dla reklamy przeznacziliśmy po rewelacyjnej cenie 5.000 sztuk doskonałych pistoletów-automatów „Grom“.



Fason belgijski Kal. 6-cio mml. Repetuje się przed każdym strzałem, automatycznie wyrzuca łuski. Huk ogłuszający. Idealna ochrona przed napadem! Wykonanie luksus: lufa pięknie oksydowana, rękojeść kryta lśniącem bakelitem! Waga 200 gr. długość 10 cm., szer. 5 cm. Gwarancja fabryczna na 5 lat. Cena tylko zł.

6.95. 2 sztuki 13.50. — Setka naboł syst. „Flobert“ zł. 3.65. Zabezpiecza od mimowolnego strzału. Wysyłamy na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze. Adresuj: **KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK**, Warszawa Pl. Napoleona I. skrz. pocz. 802 H D. Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw.

— Wiem. A ty żałujesz żeś wcześniej nie wiedział, bo byś mu trochę podebrał... Ach ty stary dolinarzu!...

Wyszli z kwaśnymi minami. Dickson miał już zamiar zapłacić pół gwiney staremu żebrakowi, gdy Goodfield zatrzymał rękę detektywa.

— Nie rozstajemy się jeszcze z Old Billem. Będziemy szukali tego pana. Old Bill będzie nam potrzebny. Dostaniecie całą koronę, ale będziecie razem z nami go szukali, zgoda?

— W zasadzie nie uznaję żadnej pracy, ale ponieważ czasy są ciężkie, a policja mego kraju mnie wzywa — nie odmawiam.

W ten sposób Dickson pozyskał nowego sojusznika.

Lawn Lane

Lawn Lane nie należy do bardzo ożywionych arterij Londynu, ale przylega do przepięknego Vaux-Hall Park i wznoszą się na niej piękne domy mieszkalne. Do najpiękniejszych, prawdziwie pałacowych budowli należy dom Porckenhamów.

Wywodzili się ci ludzie ze sfer bardzo ubogich i mimo ich bogactwa, zdobytego na obu półkulach dzięki najrozmaitszym interesom — arystokracja angielska — zamknięta i niedostępna — odwracała się od nich jak od źle wychowanych dorobkiewiczów.

Dwaj synowie założyciela rodu — zrezygnowali i zamiast ożenić się z młodymi damami z arystokracji — wzięli sobie za żony córki przemysłowców. Dwie córki wyszły za mąż za autentycznych wicehrabiów francuskich, ale mających półtępo w kieszeni.

Pozostała w domu tylko jedna miss Petronella, zwana Ptera lub poprostu Nelly, która również czekała na swego księcia krwi.

Sir Porckenham, który od niedawna został baronetem, był tego dnia bardzo zagniewany. Pił drogiego burgunda francuskiego jak wodę i nie częstując swego gościa, który siedział naprzeciwko, bezustannie czynił mu wyrzuty.

— Nie dam panu już ani grosza, panie Bromleck. Powiniennem oddać pana w ręce policji. Wyłudził pan ode mnie już dziesięć tysięcy funtów i jeszcze ciągle nie udało się panu skaptować tego starego Dorfala. Kanalia z pana — oto, co jest.

Bromleck nie tracił spokoju.

— Musimy czekać, — odparł grzecznie. Musimy. I poproszę pana, aby mnie Bromleckiem nie nazywał.

— Co?... Już i to imię jest źle słyszane w policji?

— Tak jest. Przyznaję się do tego. Tymbar-dziej może mi pan zaufać. Pan i Lady Petronella.

— Niech pan o niej mówi. Lady czeka na męża tego od pana wymagamy.

— Będzie go miała. Ale musi umieć czekać.

— Nie będzie czekała, ani ona, ani ja. Jest pan zwykłym złodziejem. Mój znajomy sekretarz w ministerstwie mówił mi, że wiedzą już dużo o panu.

— Czy wolno wiedzieć, co wiedzą?

— Wiedzą, że Bromleck i Torpe to jedna osoba. A Torpe jest od lat poszukiwany.

— I będzie poszukiwany przez dalsze długie lata.

— A gdybym tak zadzwonił do któregoś z moich znajomych?

— Może do Dicksona?

— A choćby, stary złoczyńco.

— Nie wiem, czy Harry Dickson zatrzymałby mnie tak łatwo, jak kogo innego.

— Kogo mianowicie?

— Meldującego, samego Sir Delano Porckenham... Mającego szczególne zamiłowanie do kradzionych klejnotów, zwłaszcza gdy mu je przynosi niejaki John Blake — ponoć jego bliski krewny.

— Szantażysta! — wrzasnął baronet.

— Poco sobie wymyślać, Sir. Dajmy temu spokój. Bo ja znów coś panu powiem i tak będzie w kółko.

— Dobrze... Czego pan chce... O co panu chodzi?

— Jestem skromnym człowiekiem. Trochę pieniędzy zawsze mi się przyda.

— Dam panu. Dam po raz ostatni. Byłbym panu nie dał, gdyby nie to, że wiem teraz z kim mam do czynienia. Być oszukany przez Torpego — to do pewnego stopnia zaszczyt. Przecież pan jest poszukiwany przez kilka naszych najwyższych urzędów... Więc stąd wniosek, że Torpe to napewno nie byle kto.

— Dziękuję bardzo.

— Mógłbym teraz pana wydać w ręce policji. Ale nie uczynię tego. Chcę wzamian za to, aby mi pan, Torpe, sam powiedział, jaki jest pański sekret. Jaka jest pańska tajemnica, o której odkrycie tak walczą nasze władze.

— Moja tajemnica?... I ja miałbym ją panu zdradzić?... Za wysoko pan sięga, baronacie. Gdybym nawet, wychodząc stąd dostał się w ręce policji, albo katów, średniowiecznych katów — też bym nie powiedział ani słówka. Ani słówka, rozumie pan? A cóż dopiero tobie, stary kretyńcu!

Porckenham rzucił się na Bramlecka.

Ale w tej samej chwili w ręku tajemniczego osobnika pojawił się rewolwer.

— Ani kroku! Wiem wszystko. Czekają na mnie detektywi. Może i Harry Dickson jest. Ale spóźni się. Napewno się spóźni. Tylko ja się nie spóźnię. I śmierć po ciebie się nie spóźni. Giń, zdrajco!

Padł strzał. Jak podcięty runął Porckenham na twarz ze śmiertelną raną czoła.

★

Harry Dickson przykrył ciało Sir Porckenham serwetą i zwrócił się do intendenta Goodfielda, który wchodził do salonu.

— Uciekł, znów nam ten zbir uciekł — irytował się intendenta.

— Tak jest. Jeżeli go twoi ludzie nie zatrzymali — uciekł.

— A przecież cały dom był otoczony. Którędy się wydostał. Skryć się nie mógł również. Przeszukaliśmy cały dom od góry do dołu.

— To właśnie specjalność Torpa: prześlizguje się między palcami.

Dickson od niechcenia tylko rozejrzał się po salonie, jakby uważając wszelkie poszukiwania za zbędne. Nagle Tom Wills stwierdził, że spojrzenie jego mistrza padło na róg dywanu, przykrywającego prawie całą posadzkę.

— Tom — rzekł detektyw — przysuń ten piękny kobierzec trochę w moim kierunku. Tak... Chodzi mi o prawy róg... Dziękuję ci...

Włna była w tym miejscu skędzierzawiona i jakby zlepiona

— Bardzo dobrze. To mi się przyda — rzekł Dickson, chowając kilka takich długich włókien z dywanu mocno ze sobą sklejonnych.

Goodfield już się niecierpliwił.

— Co ci się w tym dywanie spodobało, Harry. Czy masz zamiar kupić sobie taki sam...

— Nie. Nie lubię rzeczy pochodzących od ofiar naszych „klientów“. Tych kilka włókien może mi się przydać. Zobaczymy. Tymczasem radziłbym ci, Good, abys pociął opracowanie protokołu.

— Protokół?... O czym mam pisać? Że nam zwał ptaszek? Żeśmy mu dali się ulotnić? Znow wszystko na marne!

Goodfield polecił jednemu ze swych podwładnych, aby spisał protokół.

Wyszli na ulicę.

Przedzierając się przez kordon policji, zbliżała się do nich jakaś sylwetka zgarbionego, na oko już nie młodego człowieka.

— Mister Dickson... Jestem... Słyszałem, że się bestia znow wydostał. Ale ja swoje zrobiłem. I chyba swoje dostanę. No nie?... Bo czy to moja wina że mu się udało wymknąć?...

To Old Bill upominał się o swe honorarium.

— Pieniądze dostaniecie, Old Bill. Możecie być zupełnie spokojni. Przyjdźcie jutro rano o 9 do gabinetu pana intendenta Goodfielda. Nagrodę zainkasujecie na pewno, macie na to moje słowo.

Bill spojrział na Dicksona z wdzięcznością.

— No tak — mówił już udobruchany, czyszcząc rękawem kapelusz — bo przecież ja go panu wskazałem... Bo ja go zawsze poznam.

Old Bill ruszył swoją drogą.

— Przegraliśmy i jeszcze do tego dopłacimy! — mruczał Goodfield.

— Przestań mruczeć! Głupstwa gadasz.

— Jak to głupstwa?... Może go masz — tego Torpa?

— Mam — nie mam ale wygraliśmy, bracie! Wygraliśmy na całej linii.

Dickson aż poklepał swego przyjaciela po ramieniu.

— Przystaniesz żartować, u licha!

— Nie żartuję. Jak cię szanuję, Good, że nie żartuję ani trochę. Mam naszego gościa w kieszeni.

— Co to ma znaczyć?

Dickson zamiast odpowiedzi wyjął kawałek włosa i wełny z dywanu z salonu denata.

— Gdyby te włókna umiały mówić — powiedziałyby ci niejedno.

— A że mówić nie umieją...

— To trzeba je powąchać.

Goodfield przyłożył swój trochę kartoflany nos do skrawka wełny.

— Czuć... Błotem... Gnojem. Kanałami czy ja wiem...

— Bravo! Bravo! — krzyknął Dickson. — Znalazłeś.

Ale dzielny intendencja musiał sobie powiedzieć, że właściwie nic nie znalazł.

Tajemnica Hotelu

Downing Street — to siedziba angielskiego ministerstwa spraw zagranicznych i słynnego na cały świat Intelligence Service.

Rozstawszy się z Goodfieldem detektyw skierował się na tę głośną na obu półkulach ulicę i zameldował się do jednej z najpoważniejszych osobistości świata politycznego Wielkiej Brytanii. Nazwiska tego dostojnika zdradzić nie można.

Detektyw został przyjęty niezwłocznie.

— A zatem, Sir, — mówił detektyw, — rozkaz do więzienia w Pentonville, dotyczący Blaka nie był sfałszowany, jak przypuszczają panowie z ministerstwa spraw wewnętrznych?...

— Tamci panowie często nie znają naszych posunięć, — brzmiała lakoniczna odpowiedź. — Mogę jednak pana zapewnić, że rozkaz wyszedł od nas — od Intelligence Service.

— Czy mogę prosić o przyczyny wydania akurat takiego rozkazu... Choć zdaje mi się, że je znam dobrze.

— Słucham. Niech mi je pan wpierw poda.

— Sądziłście panowie, że John Blake — to najślynniejszy szpieg niemiecki nr. 333.

Wysoki dygnitarz spojrział na detektywa ostro.

— Tak jest. Ale dlaczego mówi pan że „sądziłiśmy“. Sądźmy i jesteśmy tego nawet pewni do chwili obecnej.

— Mylą się panowie. Blake — to nie 333!

— Proszę, mów pan wyraźnie. Nie rozumiem pana.

— Tamten w więzieniu był tylko do niego podobny, a ponadto był to człowiek chory umysłowo.

— Cały czas miałem takie wrażenie, ale brakowało mi dowodów... — Wysoki dygnitarz westchnął. — Może mi pan poda dalsze szczegóły. To bardzo przykra sprawa...

— Skończy się i ta sprawa a każdej chwili nr. 333 znajdzie się w moich rękach kiedy tylko zechcę. Ale ponadto, Sir, wręcę panu kogo innego: człowieka stokroć niebezpieczniejszego.

— Mr. Dickson, Mr. Dickson — ożywił się nagle dygnitarz. — O kim pan mówi? Niechże pan powie wyraźnie!

— Mówię o numerze 2-Z, o strasznym numerze 2-Z.

— Odsunięty ostatnio od pracy przez Berlin.

— Ale który właśnie dla tego chciał się wykazać wielką pracą. Wielką i dla naszego kraju niesłychanie zgubną.

— Co pan znalazł. Niechże pan mówi!

— Znalazłem plan Londynu częściowo spalony i kawałek dywanu. Kępkę włosa z niego.

Dygnitarz próbował zrozumieć coś nie coś z tych zagadkowych słów ale Dickson mu przerwał

— Potrzeba mi pięćdziesięciu suchów.

— Dam panu stu.

— Dobrze. A teraz proszę wyłożyć na biurko plan Londynu.

Detektyw wskazał na cztery arterie:

— Lawn Lane-Kennington Road... Goose Grounds i Peckham Rye... Proszę przyjrzeć się uważnie temu dokładnemu wycinkowi i proszę mi powiedzieć, Sir, czy ta linia nie przypomina panu czegoś...

— Rzeczywiście... Zaraz... Zaraz. Czy to nie dawna linia kanałów, których budowa została rozpoczęta w początkach wieku XVIII i później zaniedbana.

— Tak jest, Sir! Kanały były kopane za nisko. Zachodziła obawa, że mogą być zalane podczas wylewu Tamizy. Otóż ustawimy naszych ludzi w trzech punktach tej linii: na Lawn Lane, w domu Sir Porkehama, który tak tragicznie zginął, w Hotelu Palmer — na Kennigton Road i przy tych „gęsich polach“ — czyli Goose Grounds. My zaś udamy się do hotelu Palmera — centralnego punk-



**Mnie pomaga maść.
A ja uważam, że kapie! jest niezrównana**

klócą się między sobą ciągle i o wszystko. Zgadza się tylko na jedno, że KLEROL pomaga im obojemu w cierpieniach reumatycznych. KLEROL łagodzi bóle. Ponieważ KLEROL nie zawiera tłuszczów, nie plami bielizny. Nie wywołuje również żadnych drażniących reakcji. Wsysa się całkowicie w pory skórne. KLEROL znajduje się w sprzedaży w postaci maści i płynu do kąpieli.

KLEROL

**PRZECIW ARTRETYZMOWI
I REUMATYZMOWI**

Do nabycia w aptekach i składach aptecz.

tu tej linii. Ale przedtem złożymy pewną małą wizytę.

— Bardzo proszę.

— Trzech wywiadowców wystarczy nam do tego najzupełniej.

Wóz pomknął i zatrzymał się przy Grosvenor Street.

— Jesteśmy przecież koło Sir Dorfala.

— Tak jest... Szkoda mi tego sędziwego i tak ciężko doświadczanego człowieka.

W chwili, gdy otwierał im stary lokaj — z góry slychać było ów krzyk szaleńca, który już raz detektyw słyszał.

Dickson zwrócił się do wywiadowców.

— Na górę, panowie. I sprowadzicie mi tutaj tego krzykacza.

Sir Durfal szykował się już do snu.

— Mr. Dickson! Jakim prawem zjawia się pan o tak niestosownej godzinie. Co to ma znaczyć... Złóżę skargę na pana!

Stary arystokrata poznał dygnitarza.

— Ekszelencjo! Czemu mam przypisać zaszczyt pańskiej wizyty?..

— Pragniemy położyć kres wielu z pańskich udrek, Sir.

Drzwi się otworzyły. Trzech wywiadowców wprowadziło małego człowieka o ryżej bródce i o ponurym wyglądzie. Był już w pijamie. Kładł się spać.

— Panowie, co zawinił mój syn James... Przecież panowie wiecie dobrze, że to chory... Ciężko chory.

— Chory — niewątpliwie, — rzekł Dickson. — Ale nie w ten sposób, jak się panu zdaje.

Dickson wyciągnął rękę ku młodemu człowiekowi i nagłym ruchem oderwał mu sztuczną bródkę.

— Co to ma znaczyć, nic nie rozumiem... Sir Basil nie wychodził z podziwu. — Co się stało z moim synem?

— Niech go pan tak nie nazywa, Sir. To nie syn pański, a szpieg nr. 333 — szpieg niemiecki!

— Wpadłem, wsiąknę, — sztychł Niemiec, od razu zrzuciwszy maskę. — Winszuję panu Dickson. Jest pan bardzo przebiegły. Nikt mi nie będzie poczytywał za ujmę, że pan mnie zdema-skował.

— Krótko przed zakończeniem wielkiej wojny, — zaczął detektyw, — kapitan James Durfal, ranny w głowę, dostał się do niewoli niemieckiej. Okazało się, że znany szpieg nr. 333 — był podobny do niego, jak dwie krople wody.

Centrala szpiegowska niemiecka wpadła na pomysł niezwykły: kapitan James Durfal wrócił do Anglii, jako lekko chory umysłowo, a zwłaszcza jako cierpiący na zanik pamięci.

Tym nowym kapitanem Durfalem był szpieg nr. 333. Pozostawał na tyłach armii, gdzie oddawał Niemcom duże usługi, a po ukończonej wojnie, wrócił do domu swego „ojca“ Sir Basila Dorfala.

W tym stanie rzeczy słynny „nr. 2“ popadł w Berlinie w niełaszkę. Błąd, jaki popełnił, pragnął jednak ten szpieg naprawić za wszelką cenę, lub okupić wielką jakąś zasługą.

— Przez lata całe, — zwrócił się Dickson do Sir Basila, — ukrywał pan pod swym dachem — to kukulcze jajo!

— Ale gdzie jest mój syn, mój James?

— Nie ma go już między żywymi. Udało mu się zbiec z Niemiec. Wrócił do Londynu, dokąd go wiodł instynkt. Instynkt człowieka chorego pozbawionego pamięci i częściowo obłąkanego. I oto, gdy przybył do Londynu, stał się sir James — wypadki takie zna nauka — przestępca. Przybrał postać Johna Blake — złodzieja, oszusta i włamywacza.

Ale, Intelligence Service posiadała rysopis słynnego nr. 333. Podobieństwo z Blakiem uderzyło agentów wywiadu. Rozpoczęły się próby ustalenia przeszłości tego więźnia w Pentonville. Gdy Blake zmarł w więzieniu — Intelligence Service domagała się zachowania tego faktu w tajemnicy.

Był jednak jeden człowiek, który wiedział najlepiej, jak się te wszystkie sprawy przedstawiają. Człowiekiem tym był „nr. 2“ — słynny szpieg niemiecki. Gdy Blake Durfal zmarł — „nr. 2“ wysyłał nr. 333, aby ten ostatni, występując jako dawny Blake — nawiązywał stosunki pomiędzy swymi dawnymi współwięźniami.

Szpieg słuchał tych słów z ponurą miną.

— Mnie złapaliście, ale za „nr. 2“ — możecie **gonić** jeszcze lata całe. Tego nie ujmiecie. Z tym nie pójdzie tak łatwo.

— Myli się pan, nr. 333. Mój uczeń tylko raz **jeden** dał się panu wywieść w pole, jako wskrzeszonemu Blakowi. Tom Wills dotarł do... Goose Grounds.

— Nie wierzę! — rzekł szpieg niepewnym głosem.

— Tak jest. Dotarł do Goose Grounds, gdzie stwierdził, że pewien inny szpieg wchodzi do szklasu ogrodnika i więcej się z niego nie pokazuje.

— Verflucht! — zaklął szpieg... Że też nie sprzątnęłam od razu tego smarkacza Willsa.

— Proszę zabrać tego człowieka, — rozkazał Dickson. — Osadzimy go w mocniejszej celi w więzieniu w Newgate, poczem, zwracając się do dygnitarza, detektyw dodał: — Nic się jeszcze nie skończyło, ekscelencjo.

★

Przed hotelem Palmer czekał na nich silny oddział policji z intendentem Goodfieldem na czele.

— Wykonaliśmy rozkaz co do joty. Piwnice domu Porckenhamów zostały przeszukane. Przejście znaleźliśmy bez trudu. Tak samo w Goose Grounds. Tunel zaczyna się od domku ogrodnika. Ludzie z tych dwóch punktów są napewno w drodze do nas.

— Do windy! — rozkazał detektyw.

— A to poco? — skrzywił się Goodfield.

— Pojedziemy, ale nie w górę a w dół. Tylko przed tym trzeba trochę umocować podłogę, bo niejaki pan Cooper o mało nie zapadł się w szyb windy — taka ta podłoga była słaba...

Zjechali na dół. Znaleźli się nad wielką sadzawką podziemną.

Detektyw powiódł promieniem swej lampy po powierzchni brudnej wody.

— Na początku wieku osiemnastego, — rzekł Dickson, — w tym miejscu, gdzie teraz stoi ten hotel — wznosił się mały budynek inżyniera niemieckiego von Schwefel.

— To on właśnie opracował pierwszą kanalizację Londynu, — rzekł szef Intelligence Service.

— I on rozpoczął pierwsze prace. Zrujnowany widząc, że jego projekt jest wadliwy — wrócił ów inżynier do Niemiec. Plany pozostały po jego śmierci w jego rodzinnym mieście, w Hanowerze.

— I odkrył je „nr. 2“.

— Tak jest, — potwierdził detektyw. — I na tym polega prawdziwa tajemnica hotelu Palmera!

Dickson znalazł u dołu, przy końcu szybu dużą rączkę, jakby rodzaj wyłącznika korbowego.

Wody poczęły się szybko obniżać i wkrótce wyłonił się z dna sadzawki rodzaj wykładanego kamieniem chodnika.

— Ostrożnie, — rzekł Dickson. — Mam wrażenie, że czeka nas droga nie specjalnie przyjemna.

Istotnie, pierwszych kilkadziesiąt kroków musieli brnąć prawie po kostki w błocie. Ale nagle wszystko się zmieniło. Otworzył się przed nimi długi korytarz wykładany białymi kaflami i doskonale utrzymany. Lampy elektryczne oświetlały ten tunel, tworząc długą, ginącą w dali aleję świetlną.

Wysoki dygnitarz, pomocnicy Dicksona i ludzie z jego otoczenia byli bezgranicznie zdumieni, gdy ujrzeni na ścianach tunelu tablice rozdzielcze z najrozmaitszymi przełącznikami, gdy ujrzeni słuchawki telefoniczne wiszące tuż obok, a opodal jakby rodzaj centrali telefonicznej.

— Oto jest tajemnica „Numeru 2“ — Mr. Torpe, lub Bromlecka. Mikrofony łączyły te podziemia ze wszystkimi domami, które wydawały się temu niezwykłemu człowiekowi interesujące. Tutaj na przykład, specjalna linia telefoniczna, wiodąca do Scotland Yardu... A tutaj — do ministerstwa spraw wewnętrznych... Naturalnie, jest i połączenie z Intelligence Service!

Dickson prowadził tymczasem dygnitarza po podziemiach.

Nie chciało się wierzyć, by to wszystko mogło być dziełem rąk jednego człowieka zasilanego tylko od czasu do czasu pomocą nielicznych robotników, by, przede wszystkim, jeden człowiek zdolny był to uczynić bez niczyjej pomocy materialnej.

Dygnitarz nie wychodził z podziwu.

— Przecież tutaj tkwią olbrzymie kapitały! — powtarzał.

— Tak jest, — potwierdził Dickson.

— Czy nie mógłby pan ocenić wartości tych inwestycji?

— Sądzę, że w przybliżeniu roboty w tych tunelach pochłonęły około 20.000 funtów.

— Czy uważa pan, że wykonawca tego wszystkiego zdolny był sam pokryć tak wielkie wydatki?

— Oczywiście. Aby pozyskać fundusze — przywłaszczał sobie najcenniejsze klejnoty, jakie znajdowały się w Anglii.

— Niezwykły człowiek, doprawdy niezwykły! Szli dalej.

Wszędzie panowała wzorowa czystość. Centralne telefoniczne, miejsca podsłuchowe, wykonane były z całą dokładnością i solidnością.

— Czy mógłbym spróbować jak te aparaty działają? — zwrócił się wysoki urzędnik ministerstwa do detektywa.

— Oczywiście! Zaraz możemy przeprowadzić próbę. Z którym biurem pragnąłby się pan połączyć?

— Najchętniej z moim.

— Czy nie byłoby to zbyt ryzykowne?...

— Przypuszczam pan, że mógłbym usłyszeć coś niemiłego o samym sobie?...

— Nie wiem czy niemiłego akurat...
Dygnitarz wahał się przez chwilę. Walczyła w nim ciekawość z dyskrecją.

— Weźmy Scotland Yard; rzeczywiście wolę swoich własnych kolegów nie podsłuchiwać.

Dickson odszukał odpowiednie gniazdko w centralce telefonicznej.

— Proszę, — rzekł, podając dygnitarzowi słuchawkę. — Jesteśmy w gabinecie zastępcy intendenta Goodfielda.

Przez dodatkową słuchawkę słuchał również Dickson następującej rozmowy:

„Nie, nie będę mógł dzisiaj przyjść wcześniej. Mam dużo zajęcia“ — mówił głos męski.

— To Morris, zastępca Goodfielda. — wyjaśnił szeptem Dickson.

Telefon podziemny był w ten sposób łączony, że słychać było przezeń również to, co mówiono przez telefon, umieszczony w każdym z gabinetów w oddzielnych budynkach.

Książki za bezcen



Z powodu zapasu sprzedajemy najnowszy komplet książek bardzo tanio: Każdy małym kosztem nauczyć się może wielu ciekawych rzeczy kupując nasze książki. 1. Adwokat doradca domowy. Wzory odwołań podatkowych, skarg sądowych, podań do władz i urzędów. Sprawy egzekucyjne, majątkowe, eksmisyjne, rolne, budowlane, spadkowe, wekslowe, kredytowe, wojskowe, małżeńskie. Wzory umów dzierżawnych, ofert, podań o pracę itp. — 2. Polski sekretarz dla wszystkich. Wzory listów prywatnych, ofert, powinszowań i t. p. 3. Zwyczaje i formy towarzyskie. Kodeks o dobrych obyczajach i według wymagań życia. 4. O czym wiedzieć powinni ludzie pobierając się. 5. Studium o kobiecie. Ciekawe myśli i aforizmy. Cenna książka, odsłaniająca duszę kobiecą. Cały komplet zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie. — Płaci się przy odbiorze. — Adres: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I. Pl. Napoleona skr. poczt. 802 H. D

Przez telefon słychać było głos niewieści:
„Nigdy nie masz czasu dla domu. Będzie ciocia Molly, a ty nie przyjdiesz“.

„Trudno — służba“...

„Przyjdiesz późno, zażyjesz ziółek i pójdziesz spać i tak codzień...“

Przedstawiciel ministerstwa odłożył słuchawkę. To samo uczynił Dickson.

Obaj uśmiechnęli się.

— Sceny domowe... To nie nasza sprawa. Nieraz zamiast wielkich tajemnic nasłuchiwał się pewnie nasz szpieg — tych małych szarych sprawek. Gdyby tylko takie rozmowy prowadzono w tych gabinetach — moglibyśmy być spokojni... Ale niestety, jest inaczej.

Dygnitarz nagle zamyślił się, poczym rzucił rozkaz:

— Zniszczyć natychmiast te diabelskie telefony! — krzyknął szef.

Rozległ się ponury loskot i zdała, w głębi korytarza ukazał się pierwszy ludzie oddziału, zdążającego z drugiego końca tunelu, z mieszkania Sir Porkenhama.

Po kilku minutach przybyli ludzie z Goose Grounds.

— Nie spotkaliście kogo?

— Nikogo?...

— Nic nie szkodzi. Znajdziemy go, znajdziemy napewno.

Detektyw oparł się o lśniący mur tunelu.

— Niezwykły człowiek z tego nr. 2. To wszystko tutaj — to dzieło jego rąk. Kradł, oszukiwał, szantażował i nie wahał się przed żadnym przestępstwem, byleby tylko kupić odpowiednie środki na te wielkie prace, wymagające przecież olbrzymich nakładów. Sprowadzał robotników z dalekich stron i jeśli nie był pewny ich milczenia — czynił tak aby już do swych domów nie wrócili.

W tej podziemnej fortecy mógł być trzymać rękę na pulsie życia naszej metropolii — przez te mikrofony mógł wiedzieć co się dzieje w najtajniejszych gabinetach naszych ministrów i czelnych mężów stanu. Chciał przedstawić swym zwierzchnikom pracę zakończoną całkowicie, aby tą drogą okupić dawne winy i znów stanąć na czele szpiegów niemieckich.

— Szkoda, że go nie mamy, że udało mu się wymknąć.

W tej chwili w tunelu rozległy się szybkie kroki i nadbiegł Tom Wills.

— Wszystko w porządku, mistrzu.

— Bardzo dobrze, mój mały, bardzo dobrze. Nie mamy tutaj nic więcej do czynienia. Kilku ludzi pozostanie tylko na warcie. Tymczasem zaś mój przyjaciel intendent Goodfield zaprosi nas chyba do siebie i poczęstuje doskonałymi Hanry Clay, które dostał w swoim czasie od pewnego finansisty. Bardzo lubię te cygara.

Goodfield oczywiście zaprosił Dicksona i dygnitarza jak najserdeczniej.

Wonny dym uniósł się pod pułap wspaniałego gabinetu intendenta. Panowie usiedli w głębokich fotelach.

Dickson zaciągnął się dymem i zwrócił się do swego przyjaciela:

— Cóż to za papier na biurku. Czy to nie raport policyjny z nocy?

— Tak jest. Nie ma w nim nic ciekawego. Bójki wypadki, kradzieże i t. d.

— Czy pozwolisz, że jednak rzucę na ten papier okiem.

Bardzo proszę.

Dickson nagle zatrzymał się na malej notatce.

— Żadnych rzeczy dowiaduję się o moim uczniu... Mister Tom Wills zatrzymany za bójkę uliczną! Bił się ze starcem z niedołężnym starcem! To doprawdy niesłychane...

— Co takiego, — zdziwił się Goodfield. — Nasz Tom — bije się po nocach na ulicach... Doprawdy! Nie spodziewałbym się tego nigdy.

Obaj spojrzeli z wyrzutem na Toma.

— Zaczepił mnie pierwszy. Zresztą policja przyznała mi rację, bo mnie zwolnili, a tamtego zatrzymali w areszcie.

— Muszę zbadać tę sprawę. Mam wrażenie, że popełniona została poważniejsza pomyłka policyjna.

— Piętro II, cela 6, — czytał Goodfield. Zaraz go będziemy tutaj mieli. — Intendent rzucił krótki rozkaz przez telefon.

Po kilku chwilach dwóch silnych „bobbies“ wepchnęło do gabinetu doprawdy niedołężnego starca, siwego, odzianego z lachmany i pokasującego.

— Panie intendencie. To tak się traktuje przyjaciół?... Jak wam Old Bill nie jest potrzebny, to go się zamyka w areszcie. I za co?.. Za to, że mnie smarkacz pobił?.

— Kręcił się koło hotelu Palmer, chciał się dostać tam, gdzie przejście było zakazane. — wyjaśnił Tom. Mówił, że wolno mu jest przejść przez kordon policyjny.

— Miał rację. Ale czy zbadane zostały jego kieszenie.

— Tak jest. Znaleźliśmy tylko ten oto sznurek.

— Podniosłem go z ziemi, — rzekł Old Bill.

— To bardzo ciekawe. Sznurek Bickforda waleś się tak po ziemi. Bardzo ciekawe.

— Czy to sznurek do wywołania eksplozji? — zagadnął detektywa dygnitarz.

— Tak jest! I przyłączony do kilku miejsc w podziemiach obróciłby cały tunel w perzynę. Cóż pan na to, szanowny panie Torpe, a jas Brombeck, alias Old Bill! — rzekł Dickson gromkim głosem.

Old Bill od razu wyprostował się i zdarł siwa brodę i wasy.

— Winszuję, Dickson. Udało się panu. Już od pewnego czasu miałem przeczucie, że leżę. Ale gdy mnie ten mały Wills znokautował na ulicy — wiedziałem, że to nie przypadek. Wiedziałem, że chce mnie jaknajprędzej dostać pod klucz. Trzeba dobrze wycierać buty, gdy się wchodzi na dywany, bo taki Dickson ma oczy na wszystko otwarte i od razu widzi błoto na dywanie...

Torpe zwrócił się do wysokiego urzędnika Intelligence Service:

— Przegrałem.. Ale i przegrać trzeba umieć.. Żegnam panów...

Nim ktokolwiek zdążył mu przeszkodzić do- był z kieszeni jakby małą pastylkę i włożył ją do ust. Po chwili osunął się na krzesło.

— Trucizna, — rzekł Dickson.

Wszyscy wstali ze swych miejsc i przez chwilę trwali w milczeniu.

Koniec.



Następny **Nr. 45 Harry Dicksona,**
który ukaże się we wtorek, dn. 15 listopada
zawierać będzie przygodę pod tytułem:

SREBRNA MASKA

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności przeistaczania się, w niezrównanej jego sztuce przebierania się, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją twarzą, swym głosem, a nawet swym wzrostem — tkwi widocznie tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym.

Harry Dickson odznacza się nieustraszoną odwagą, jego oko przenika to, co jest rajs krytycznego, ruchliwość jego umysłu pozwala mu się wywikłać z najmniej bezpiecznej sytuacji, genialną intuicją rozwzuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej prowadzi go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|---------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 22. NIEBIESKI BOCIAN |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 23. ZAGINIONE KRÓLESTWO. |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 24. HAWAJSKI SZTYLET. |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 25. WOSKOWE JABŁKO |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 26. WIELKA GRA. |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 27. HOTEL EMIGRANTÓW. |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 28. KRWAWY KLEJNOT |
| 8. „KRÓL NOCY“ | 29. SZTUCZNE ZŁOTO. |
| 9. „POSEPNA KABAŁA“ | 30. CZARNY MŚCICIEL. |
| 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ | 31. KSIEŻYC BIRMAŃSKI. |
| 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ | 32. POŻAR W MIASTECZKU. |
| 12. „KAPLANKA OGNIĄ“ | 33. ZŁOWIESZCZY ŚNIEG. |
| 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY | 34. WILKOŁAK. |
| 14. ŻYJĄCY BUDDA | 35. GWIAZDA POLARNA. |
| 15. WIDMO TUŁACZA | 36. KWADRATOWE OKNO. |
| 16. SKRADZIONY TESTAMENT | 37. WODNY CZART. |
| 17. DUCH ŚWIATŁA | 38. DUCH W ZAMCZYSKU, |
| 18. CZERWONA DAMA | 39. UPIÓR W TEATRZE |
| 19. MIASTO PIRATÓW | 40. DEMON WIATRU. |
| 20. POSTRACH LONDYNU | 41. SOBOWTÓR. |
| 21. TAJEMNICA ŁODZI PODWODNEJ | 42. NIEWIDZIALNY MĘDRZEC. |
| | 43. DANCING NA BŁOTACH. |

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

Co tydzień ukazuje się jeden ze-

Cena

10 gr.

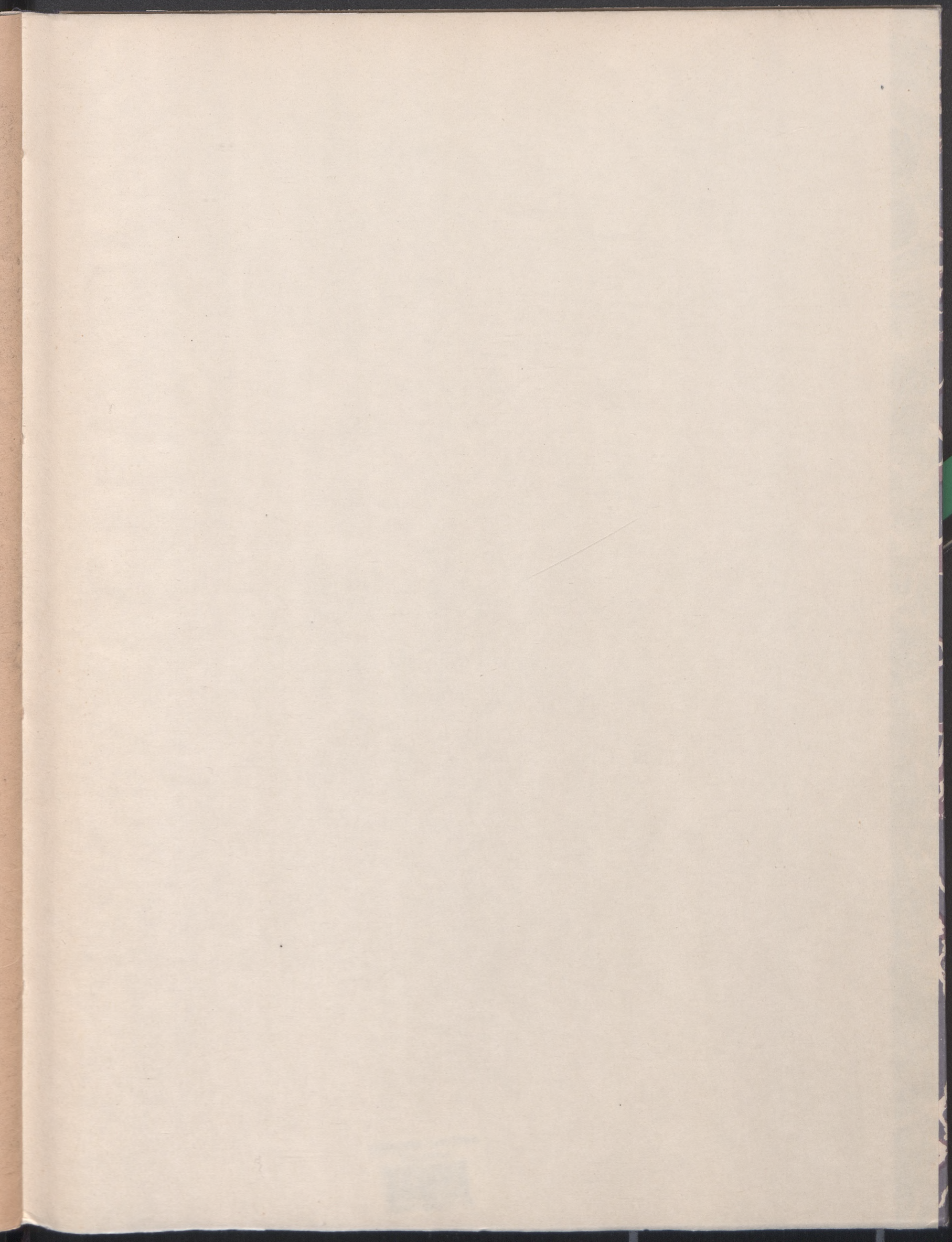
szyt, stanowiący oddzielną całość

10 gr.

Wydawca: Wydawnictwo „Republika“ Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak. Odbito w drukarni własnej, Łódź, Piotrkowska 49 i 64.

Konto P. K. O. 68,148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56.

10061/38



Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024366173



20j
623405/44

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN